

Niepokorne 1976-1989

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 8-9(428-429) SIEPIEN-WRZESIEŃ 2026

[illegible]

50 LAT KOMITETU OBRONY ROBOTNIKÓW



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 8-9(428-429)

sierpień-wrzesień 2026



dołącz do nas na Facebooku i na X

www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski

e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów

i Osób Represjonowanych

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

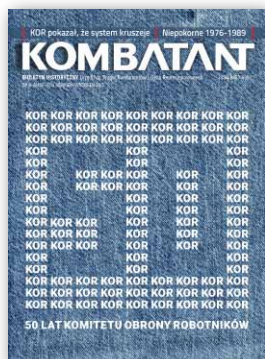
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77

www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej

ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 50 lat Komitetu Obrony Robotników. „Nie pytaj, komu bije dzwon, bije on tobie”

Dokładnie 50 lat po powstaniu Komitetu Obrony Robotników na Zamku Królewskim w Warszawie spotkali się jego członkowie i współpracownicy, działacze opozycji demokratycznej oraz przedstawiciele władz państwowych

8 Wspaniała karta walki o demokratyczną Polskę

Komitet Obrony Robotników to wspaniała karta walki o demokratyczną Polskę. Fakt, że po latach niektórzy działacze podejmują kontrowersyjne działania, nie może przekreślać historii. Rozmowa z prof. Antonim Dudkiem, historykiem i politologiem

Katarzyna Krzykowska

12 KOR pokazał nam, że system kruszeje

Gdy jesienią 1976 r. ludzie KOR wystąpili wobec władz z otwartą przyłbicą i nie zostali aresztowani, był to jasny sygnał, że system osłabł. Rozmowa z Jackiem Taylorem, adwokatem, obrońcą opozycjonistów w PRL

Norbert Nowotnik

16 Po obu stronach frontu – wojenna droga Wiktora Szołtyska

Miał niespełna czternaście lat, gdy zaczęła się wojna. Zamiast rozpocząć kolejny etap nauki, zobaczył niemieckich żołnierzy, którzy zajęli jego miejscowość. Kilka lat później został pod przymusem wcielony do Wehrmachtu

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

20 82 lata później – podziękowanie za ocalenie życia Wiktora Szołtyska

W Teatrze del Popolo w Castelfiorentino odbyła się wzruszająca uroczystość, podczas której podziękowano mieszkańcom Toskanii za ocalenie życia Wiktora Szołtyska

22 Niepokorne 1976–1989. Przywracanie pamięci

Zależało nam na tym, żeby kompleksowo pokazać działalność kobiet w opozycji, ich sprawczość i podmiotowość. Rozmowa z kuratorkami ekspozycji „Niepokorne 1976–1989” Anną Czerwińską i Agnieszką Grzybek

Katarzyna Krzykowska

27 Od nękania do procesu, czyli KOR „na celowniku” SB

Komitet Obrony Robotników od swojego powstania we wrześniu 1976 r. przez wiele lat pozostawał głównym wrogiem ludowej władzy. Nic zatem dziwnego, że był zaciekle zwalczany przez Służbę Bezpieczeństwa

Grzegorz Majchrzak

31 „Boży człowiek” z Komitetu

Był trybunem słabych, wykluczonych, uciśnionych. To właśnie miłość bliźniego kałała mu 50 lat temu stanąć po stronie prześladowanych przez reżim komunistyczny i podpisać się pod apelem Komitetu Obrony Robotników

Waldemar Kowalski

35 Biblioteka SZEFA URZĘDU

Okładka: KOMITETOBRONYROBOTNIKOW.PL

[illegible]

50 lat temu, we wrześniu 1976 roku, powstał Komitet Obrony Robotników. Była to odpowiedź na wydarzenia czerwca, na represje, które dotknęły uczestników robotniczych protestów w Radomiu, Ursusie i Płocku. Robotnicy byli bici, zwalniani z pracy, skazywani w procesach. Ich rodziny pozostawały bez środków do życia. Komunistyczna władza chciała, aby zostali odizolowani, zastraszeni i pozbawieni nadziei, a twórcy KOR postanowili to zmienić. Powołali jawny komitet, który miał bronić represjonowanych robotników i wspierać ich rodziny. Pod apelem założycielskim umieścili własne nazwiska. Jawność była ich tarczą, siłą – odwaga, solidarność i przekonanie, że krzywda drugiego człowieka nie może pozostać bez odpowiedzi. Znaczenie ich dzieła wykroczyło daleko poza wydarzenia 1976 roku. Przygotowało grunt pod narodziny wielkiego ruchu Solidarności.

Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*

8-9(428-429) SIERPIEŃ-WRZESIEŃ 2026

[illegible]

nych Lech Parell podkreślił, że KOR był odpowiedzią na represje, które dotknęły robotników po protestach w czerwcu 1976 roku. – *Robotnicy byli bici, zwalniani z pracy i skazywani w procesach. Ich rodziny pozostawały bez środków do życia. Komunistyczna władza chciała, aby zostali odizolowani, zastraszeni i pozbawieni nadziei. Twórcy KOR postanowili to zmienić* – mówił. Przypomniał też, że założyciele Komitetu zdecydowali się działać jawnie i podpisali apel własnymi nazwiskami.

– *Jawność była ich tarczą. Siłą – odwaga, solidarność i przekonanie, że krzywda drugiego człowieka nie może pozostać bez odpowiedzi* – zazna-

czył Lech Parell. Dodał również, że znaczenie KOR szybko wykroczyło poza wydarzenia 1976 roku. – *Przygotowało grunt pod narodziny wielkiego ruchu Solidarności* – mówił.

Wspólne dziedzictwo

W uroczystości uczestniczyli członkowie i współpracownicy KOR oraz przedstawiciele różnych środowisk opozycji demokratycznej. Jak zaznaczył Lech Parell, zaproszeni zostali wszyscy żyjący działacze i współpracownicy Komitetu.

W Zamku Królewskim pojawili się m.in. Maria Wosiek, Ewa Milewicz, Konrad Bieliński, Seweryn Blumsztajn, Bogdan Borusewicz, Andrzej Celiń-

gemejer, Sergiusz Kowalski, Witold Łuczywo, Jacek Taylor, Aleksander Smolar i Eugeniusz Smolar. Wśród przybyłych przedstawicieli opozycji demokratycznej znaleźli się m.in. Henryka Krzywonos-Strycharska, Róża Thun, Barbara Labuda, Zbigniew Bujak, Jacek Czaputowicz, Andrzej Czuma, Władysław Frasyniuk, Bogdan Lis, Stefan Niesiołowski, Janusz Onyszkiewicz oraz Mirosław i Sławomir Rybicky.

W spotkaniu uczestniczyli również przedstawiciele niezależnej kultury, wydawcy, drukarze i kolporterzy podziemnych publikacji, a także reprezentanci środowisk kombatanckich. – *Komitet Obrony Robotników to dobro narodowe i nie wolno go przypisywać do żadnej opcji politycznej* – podkreślała Henryka Krzywonos-Strycharska, uczestniczka Porozumień Sierpniowych.

„Tajne spotkania, nadzwyczajna solidarność”

Premier Donald Tusk wspominał ludzi, którzy pół wieku temu zaangażowali się w działalność Komitetu. – *Je-*

FOT. UDSKOR



– W KOR nie było patosu, zawodów, kto jest lepszym patriotą, a kto nawet koło patriotyzmu nie leżał – mówiła Ewa Milewicz FOT. UDSKOR



Głównym tematem debaty były doświadczenia opozycji demokratycznej nie tylko w Polsce, ale też w innych krajach byłego bloku wschodniego FOT. UDSKOR

ski, Wiesław Kęcik, Adam Michnik, Wojciech Onyszkiewicz, Teresa Bogucka, Elżbieta Regulska-Chlebowska, Irena Wóycicka, Grzegorz Boguta, Wojciech Fałkowski, Krzysztof Ha-

stem tutaj w imieniu wszystkich, a więc milionów Polek i Polaków. Miałem niebawem zaszczyt brać udział w działaniach, które podjęliście wtedy, kiedy to było naprawdę trudne.

Do dziś, przez te 50 lat, nic nie jest w stanie przesłonić ani być czymś bardziej wartościowym niż tamto doświadczenie – tajne spotkania, nadzwyczajna, pisana jeszcze małą literą, solidarność – mówił.

Donald Tusk podkreślił także znaczenie pamięci o działaczach KOR dla kolejnych pokoleń. – *Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ten wielki*

względem wielkich słów KOR był ascetyczny – wspominała. Przywołała również słowa angielskiego poety Johna Donne’a: „Nie pytaj, komu bije dzwon, bije on tobie”. W jej ocenie doświadczenie KOR pozostaje ważne także współcześnie – jako przypomnienie, że krzywda drugiego człowieka jest sprawą każdego z nas.

Doświadczenie, które przekroczyło granice

Wyjątkowym punktem uroczystości była debata poświęcona działalności KOR oraz doświadczeniom opozycji



– Miałem zaszczyt brać udział w działaniach, które podjęliście wtedy, kiedy to było naprawdę trudne. Do dziś nic nie jest w stanie przesłonić ani być czymś bardziej wartościowym niż tamto doświadczenie – powiedział premier Donald Tusk. FOT. UDSKIOR

skarb, pamięć o wspaniałych ludziach, zawsze była inspiracją dla tych, dla których takie słowa jak Ojczyzna, wolność i patriotyzm oznaczają coś świętego. I nigdy nie kojarzą się z pogardą, nienawiścią czy lekceważeniem – zapewnił.

Codzienna praca zamiast wielkich słów

Ważną częścią uroczystości były wspomnienia osób związanych z opozycją demokratyczną. Ewa Milewicz, dziennikarka i współpracowniczka KOR, mówiła o codziennej pracy Komitetu: drukowaniu i kolportażu niezależnych wydawnictw, organizowaniu pomocy dla represjonowanych, dokumentowaniu przypadków łamania praw człowieka oraz wspieraniu prześladowanych.

– *W KOR nie było patosu, zawodów, kto jest lepszym patriotą, a kto nawet koło patriotyzmu nie leżał. Pod*



Od KOR do Solidarności

O znaczeniu Komitetu dla wydarzeń sierpnia 1980 roku mówiła Henryka Krzywonos-Strycharska. Wspominając strajk w Stoczni Gdańskiej i rolę kobiet w jego rozpoczęciu, podkreśliła znaczenie wcześniejszej działalności środowisk KOR. – *Dziś jako sygnatariuszka porozumień sierpniowych dziękuję wam, tu obecnym i tym, których już z nami nie ma, za wolność dla naszej Polski. Byliście odważni w czasach, gdy odwaga była w cenie – zwróciła się do działaczy opozycji.*

demokratycznej w innych państwach byłego bloku wschodniego. W dyskusji uczestniczyli Anna Šabatová, sygnatariuszka Karty 77 i działaczka na rzecz praw człowieka, węgierski pisarz i opozycjonista Miklós Haraszti, ukraiński obrońca praw człowieka i współtwórca Ukraińskiej Grupy Helsińskiej Myroslav Marynovych oraz Markus Meckel, działacz opozycji demokratycznej w NRD i ostatni minister spraw zagranicznych tego państwa. W debacie uczestniczył także Adam Michnik, historyk, publicysta

i członek KOR. Debatę pokazała, że doświadczenia polskiej opozycji były częścią szerszego procesu społecznego i politycznego zachodzącego w Europie Środkowo-Wschodniej.

Środowiska opozycyjne w różnych krajach łączyła działalność na rzecz praw człowieka, swobód obywatelskich i demokratycznych przemian.

„Nie byłoby Solidarności bez KOR”

Do uczestników obchodów list, w którym dziękowali ludziom KOR za „wolność, niepodległość i demokrację”, skierowali Lech Wałęsa, Zbigniew Bujał, Władysław Frasyniuk i Bogdan Lis, który go odczytał i przekazał na ręce Ewy Milewicz. *„Daliście przykład, iż organizacja oraz współpraca dają efekty. Udowodniliście, że człowiek człowiekowi bratem. Przekonałiście nas, iż bycie nielegalnym we własnym kraju ma sens. Nie byłoby «Solidarności» bez Komitetu Obrony Robotników. Nie byłoby wolności, niepodległości i demokracji bez KOR”* – napisali.

Uczestnicy rocznicowego spotkania podkreślali, że pamięć o KOR powinna łączyć, a nie dzielić – ponad późniejszymi różnicami politycznymi i światopoglądowymi. Obchody 50. rocznicy powstania Komitetu Obrony Robotników zakończył koncert fortepianowy Mateusza Krzyżowskiego, utytułowanego pianisty młodego pokolenia.

Uroczystość zorganizował Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych pod honorowym patronatem Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska. ■



– Komitet Obrony Robotników to dobro narodowe i nie wolno go przypisywać do żadnej opcji politycznej – przestrzegała Henryka Krzywonoś-Strycharska FOT. UDSKIOR



Mieliśmy marzenie o państwie zbudowanym na dialogu, pluralizmie i odrzuceniu przemocy. Wiedzieliśmy, że droga do wolności prowadzi przez postawy obywatelskie, przez odrzucenie nacjonalizmu, ksenofobii i szowinizmu – mówił Adam Michnik FOT. UDSKIOR





Wspaniała karta walki o demokratyczną Polskę



prof. Antoni Dudek FOT. PAP

Komitet Obrony Robotników to wspaniała karta walki o demokratyczną Polskę. Fakt, że po latach niektórzy działacze podejmują kontrowersyjne działania, nie może przekreślać historii. W latach 1976–1977 wykazali się oni ogromną odwagą, niosąc pomoc prześladowanym. O tym musimy pamiętać – podkreślił historyk i politolog prof. Antoni Dudek.

Powstanie KOR-u we wrześniu 1976 roku było odruchem serca czy chłodno skalkulowanym projektem politycznym?

Gdyby KOR nie powstał we wrześniu 1976 roku, najprawdopodobniej stałoby się to nieco później. Organizacja ta

bez wątpienia narodziłaby się w takiej czy innej formie, ponieważ tworzące ją środowiska nie pojawiły się spontanicznie. Funkcjonowały już znacznie wcześniej. Wyrazem ich aktywności były chociażby listy protestacyjne przeciwko nowelizacji Konstytucji

PRL, kierowane do władz na przełomie 1975 i 1976 roku.

Kluczowym wydarzeniem, które skryształowało te kręgi, stało się podpisanie w sierpniu 1975 roku Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE). W do-

◀ Zebranie członków KSS KOR u prof. Edwarda Lipińskiego. Od lewej: Piotr Naimski, Józef Rybicki, Wojciech Onyszkiewicz, Jan Lityński Warszawa, marzec 1981 r. FOT. ZBIGNIEW GARWACKI / FOTONOVA / EAST NEWS

kumencie tym PRL oraz inne państwa bloku komunistycznego przyjęły szereg zobowiązań dotyczących przestrzegania praw człowieka – był to tak zwany trzeci koszyk porozumień hel-

podjęli bliską współpracę, było już bezpośrednim efektem wydarzeń Czerwca '76. To one wywołały autentyczny odruch serca i solidarności z prześladowanymi. Warto pamiętać, że niezależnie od narodzin KOR-u działały już wtedy inne środowiska, które ostatecznie w Komitecie się znalazły, lecz kilka miesięcy później, w marcu 1977 roku, utworzyły Ruch

wali uczestników KOR-u, nie zdecydowali się na masowe aresztowania i procesy.

KOR połączył ludzi o skrajnie różnych biografiach i poglądach. Co stanowiło spoiwo wyciszające konflikty?

Różnice ideowe były bardzo wyraźne. Na starcie doszło do sklejenia dwóch odrębnych formacji: dawnych komandosów z Marca '68 (Jacek Kuroń, Adam Michnik) oraz środowiska młodych harcerzy z warszawskiej Czarnej Jedyńki (Antoni Macierewicz, Piotr Naimski). Do KOR-u dokooptowano też trzecią grupę – „starszych państwa”. Byli to wybitni przedwojenni intelektualiści i weterani PPS (m.in. Jerzy Andrzejewski, Edward Lipiński, Aniela Steinsbergowa, Ludwik Cohn, Jan Józef Lipski). Ich autorytet tworzył bezcenną osłonę moralną; zakładano, że komunistom trudniej będzie ich zaatakować. Ta tarcza zadziałała.

Mimo to spory – zwłaszcza między Michnikiem a Macierewiczem – wybuchły szybko. Służba Bezpieczeństwa intensywnie próbowała dezintegrować to środowisko. O ile w przypadku ROPCiO osiągnęła cel, wykorzystując rywalizację personalną między Leszkiem Moczulskim a Andrzejem Czuma, o tyle KOR zdołał przetrwać wewnętrzne wstrząsy aż do samorozwiązania w 1981 roku.

W jaki sposób udawało się te kryzysy zażegnawać?

Wypracowano kulturę polubownego rozwiązywania sporów. Gdy wokół pisma „Głos” wybuchł konflikt między Macierewiczem a Michnikiem, zamiast rozłamu nastąpił podział zadań: Macierewicz wydawał „Głos”, a Michnik założył kwartalnik „Krytyka”, co rozładowało napięcie. Kiedy nie dało się wynegocjować wspólnego stanowiska, po prostu rezygnowano z deklaracji. Obowiązywała zasada konsensusu: działamy tam, gdzie się zgadzamy, a kwestie sporne odkłada-



Antoni Macierewicz, Warszawa, luty 1981 r.
FOT. TOMASZ MICHALAK / FOTONOVA / EAST NEWS

sińskich. To sprawiło, że w wielu krajach bloku sowieckiego ludzie nastawieni opozycyjnie dostrzegli szansę na zmianę. Zrozumieli, że będą mogli odwoływać się do międzynarodowych ustaleń z Helsinek i domagać się praw, których dotąd realnie ich pozbawiano. Wspomniane protesty konstytucyjne w Polsce stanowiły właśnie pierwszy impuls tej nowej strategii.

Natomiast to, że nowa organizacja przyjęła ostatecznie nazwę Komitet Obrony Robotników oraz że konkretni ludzie, którzy do tej pory niekoniecznie chcieli ze sobą rozmawiać,

Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO).

Ryzyko podjęcia jawnej działalności musiało być ogromne...

Ryzyko było gigantyczne. Doświadczenia z lat 60. uczyły, że za tworzenie struktur konspiracyjnych szło się prosto do więzienia. Przywódcy KOR-u przyjęli jednak rewolucyjną filozofię: postanowili działać jawnie, pod własnymi nazwiskami, podając także adresy. Uniemożliwiło to władzom oskarżenie ich o udział w „tajnym związku”. Ten test wypadł pomyślnie. Ekipa Edwarda Gierka została zaskoczona. Choć komuniści represjonowali

my na bok, by skupić się na pomocy prześladowanym.

Działacze mieli pełną świadomość, jakie są intencje Służby Bezpieczeństwa. Wiemy z dokumentów, że bezpieka próbowała kreować konflikty nawet na tle etnicznym, starając się wykorzystywać fakt, że wśród założycieli KOR-u obok Polaków znajdowały się także osoby pochodzenia żydowskiego. Było to nieskuteczne, choć SB ponawiała próby przez cały okres istnienia Komitetu.

Skąd pochodziły środki finansowe na działalność KOR-u? Na ile pomoc była uzależniona od Zachodu, a na ile od Polaków w kraju?

W pierwszej fazie były to pieniądze zbierane w kraju od ludzi poruszonych losem robotników. Zebrano potężną kwotę – około dwóch milionów złotych (przy średniej pensji wynoszącej trzy tysiące). Od 1977 roku zaczęły napływać środki od polskiej emigracji. Doskonale widać to w paryskiej „Kulturze” Jerzego Giedroycia, która publikowała wykazy darowizn na KOR i ROPCiO. Choć sumy nie były zawrotne, przesyłano je w walutach wymiennych. Ze względu na czarnorynkowy kurs dolarów w PRL stanowiło to potężne wsparcie.

Ważną rolę odegrali też emigranci marcowi, bracia Eugeniusz i Aleksander Smolarowie, pozyskujący fundusze od międzynarodowych organizacji broniących praw człowieka. Istotnym źródłem stał się też niezależny ruch wydawniczy. Odbiorcy płacili za podziemne książki i gazety. Powiązana z KOR-em Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Mirosława Chojeckiego była ogromnym przedsięwzięciem logistycznym, które stale obracało gotówką, finansując kolejne nakłady.

Czy SB kontrolowała KOR jako „wentyl bezpieczeństwa”, czy też komuniści dali się ograć?

Zdecydowanie to drugie. KOR nie był sterowany przez bezpiekę. Choć wewnątrz działali agenci, a opozycjoniści byli stale inwigilowani, władze po prostu ich zlekceważyły. Całe środowisko przedsierniowej opozycji – w tym KOR, ROPCiO, SKS-y, Wolne Związki Zawodowe czy KPN – liczyło łącznie około tysiąca osób. Kierownictwo PZPR traktowało tę grupę jako niegroźny margines.

Wprawdzie w MSW nie brakowało jastrzębi domagających się aresztowań, ale na radykalne rozwiązania nie zgadzał się Stanisław Kania, sekretarz KC nadzorujący aparat represji. Z dokumentów wynika, że Kania studiował zapał resortu pragmatyczną argumentacją: priorytetem PRL były zachodnie kredyty i modernizacja gospodarki. Powstanie kategorii „więźniów politycznych” zniszczyłoby międzynarodowy prestiż Gierka. Kania nakazał więc stosowanie innej strategii: inwigilować, nękać i zastraszać, ale bez masowych procesów.

Stąd brał się specyficzny zestaw represji końca lat 70.: zwalnianie z pracy, rewizje czy zatrzymania na 48 godzin. Komuniści po prostu nie docenili determinacji opozycji i dynamiki społecznej. Dali się ograć, bo z tego tysiąca działaczy w sierpniu 1980 roku narodził się wielomilionowy ruch Solidarności.

Czy w latach 70. robotnicy naprawdę traktowali warszawskich intelektualistów jak partnerów?

Masowy sojusz robotników i inteligencji narodził się dopiero latem 1980 roku w Stoczni Gdańskiej. Wcześniej relacje miały charakter elitarny i punktowy. Nawet w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża znaczną część grupy stanowili przedstawiciele inteligencji technicznej, jak Joanna i Andrzej Gwiazdowie. Niemniej w KOR-ze panowało przekonanie, że kluczem do zmiany ustrojowej jest włączenie mas robotniczych, bo



Piotr Naimski FOT. KOMITETOBRONYROBOTNIKOW.PL/

władza zaczynała się liczyć z obywatelami dopiero wtedy, gdy stawały fabryki. Stąd wziął się szereg działań służących dotarciu do zakładów, takich jak wydawanie pisma „Robotnik” Jana Lityńskiego. Ten podziemny dwutygodnik poruszał tematy najbliższe załogom: prawa pracownicze, bhp czy drożynę, przygotowując grunt pod późniejszy wspólny zryw.

Dlaczego działania KOR-u nie przyciągnęły wówczas mas? Co sprawiło, że ten społeczny konformizm zaczął pękać?

Większość Polaków akceptowała PRL w sposób konformistyczny. Dominowało przekonanie, że protest nie ma sensu, bo zależność od Moskwy jest nienaruszalna. Nawet w KOR-ze marzeniem była „finlandyzacja” – autonomia wewnętrzna przy zachowaniu sowieckiej strefy wpływów. Dla obywatela opór wiązał się z ryzykiem utraty pracy. Władza skutecznie zastraszała społeczeństwo za pomocą paszportów. Wyjazdy zarobkowe na



Adam Michnik, Helena Łuczywo i Jacek Kuroń – członkowie Komitetu Obrony Robotników na podwórku przed mieszkaniem Kuronia na Żoliborzu, wrzesień 1980 r.

FOT. TOMASZ MICHALAK / FOTONOVA / EAST NEWS



Edward Lipiński FOT. PAP

Zachód były masowe, ale po powrocie dokument oddawano milicji. Otarcie się o KOR oznaczało zakaz wyjazdów. Dla ludzi marzących o pracy w Norwegii, by zarobić na samochód, ta perspektywa wystarczała, by trzymać się z daleka.

Ten konformizm zaczął pękać, gdy propaganda sukcesu Gierka zderzyła się z gospodarczą zapaścią, a kluczowym przełomem stała się pielgrzymka Jana Pawła II w 1979 roku. Wywołała ona wstrząs psychologiczny. Widok dwumilionowego tłumu na krakowskich Błoniach uświadomił Polakom ich własną siłę i pokazał, że Kościół reprezentuje zupełnie inne wartości niż partia.

Mimo to, gdy rok później wybuchł Sierpień '80, postulaty wciąż nie były niepodległościowe...

Większość mitologizuje tamten zryw jako powstanie narodowe. Lech Wa-

łęsa tworzy narrację, zgodnie z którą od początku walczył o wolną Polskę i wyprowadzenie wojsk sowieckich, ale ruch ten miał początkowo charakter ściśle socjalny. W słynnych 21 postulatach jedynym wyłomem politycznym było żądanie utworzenia niezależnych związków zawodowych. Solidarność ewoluowała w ruch narodowyzwoleńczy dopiero w toku trudnych lat 80. To był proces wymagający kilkunastu lat i zmiany kontekstu międzynarodowego – w tym dojścia do władzy Michaiła Gorbaczowa. W latach 70. nikt nie był w stanie tego przewidzieć.

Rozmawiamy w 2026 roku, dokładnie pół wieku po tamtych wydarzeniach. Czy ta 50. rocznica musi być kolejnym polem bitwy o to, czyja wizja Polski jest bardziej „korowska”?

Ta rocznica nas nie zjednoczy. Trudno wyobrazić sobie, by w jednej sali świętowali dziś Antoni Macierewicz, Adam Michnik i Bogdan Borusewicz. Uważam jednak, że spory o historyczną rolę KOR-u mamy za sobą – dominuje pogląd, że bilans Komitetu jest zdecydowanie pozytywny. Skrajne opinie o spisku były obecne od początku

i upływ czasu tego nie zmienia. Dla mnie KOR to wspaniała karta walki o demokratyczną Polskę. Fakt, że po latach niektórzy działacze podejmują kontrowersyjne działania, nie może przekreślać historii. W latach 1976–



Aniela Steinsbergowa FOT. PAP

–1977 wykazali się oni ogromną odwagą, niosąc pomoc prześladowanym. O tym musimy pamiętać.

W polskiej pamięci historycznej wciąż jednak dominuje czarno-białe ocenie postaci...

W Polsce pokutuje naiwne oczekiwanie, że bohaterowie muszą być kryształiczni przez całe życie. Rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana. Klasycznym przykładem jest Władysław Gomułka. Moja ocena jego roli w utrwalaniu reżimu komunistycznego jest skrajnie krytyczna. Nie zmienia to faktu, że w październiku 1956 roku potrafił twardo przeciwstawić się Chruszczowowi i doprowadzić do odczuwalnej odwilży. Potrafię to docenić bez wybielania jego późniejszych win. Historia nie jest czarno-biała. KOR jako organizacja zapisał wspaniałą kartę. Nawet jeśli poszczególni jego członkowie robili po latach rzeczy, których nie akceptuję, nie zamierzam odmawiać im laurów za to, co genialnie zrobili pół wieku temu.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



FOT. AIPN

KOR pokazał nam, że system kruszeje



Jacek Taylor FOT. PAP

Gdy jesienią 1976 roku ludzie KOR wystąpili wobec władz z otwartą przyłbicą i nie zostali natychmiast wyaresztowani, był to dla nas jasny sygnał, że system osłabł, że trzeba się rozpychać i zdobywać kolejne przyczółki – wspomina Jacek Taylor, adwokat, obrońca opozycjonistów w PRL.

W tym roku mija 50 lat od powstania Komitetu Obrony Robotników. Czym był wtedy dla pana KOR?

W czerwcu 1976 roku doszło w Polsce do buntu robotników i myśmy zdawali sobie sprawę, że system, który nam towarzyszył od 1944 czy 1945 roku, czyli przez cały okres komunistycznego zniewolenia, kruszeje. To się działo na naszych oczach i rok 1976 okazał się przełomowy. Wcześniej wy-

obrażaliśmy sobie, że niepodległość przyjdzie wówczas, gdy Związek Radziecki zapadnie się, że nastąpi coś w rodzaju implozji tego państwa-kolosa i że kraje takie jak Polska, które po II wojnie światowej utraciły niepodległość, odzyskają wolność.

Kiedy więc po Radomiu i Ursusie doszło do zorganizowanego wystąpienia grupy osób, która we wrześniu 1976 roku przyjęła nazwę Komitet

Obrony Robotników, i nie zaaresztowano wszystkich natychmiast, był to dla nas zupełnie wyraźny sygnał, że system osłabł. Że trzeba się rozpychać i że metodą stopniowego pozyskiwania kolejnych przyczółków obalimy system. Zasluga tych osób, które nie bojąc się aresztowania, przecież realnie grożącego, wystąpiły z otwartą przyłbicą wobec władz, jest nie do przecenienia. Apel do społeczeństwa

i władz podpisany był najpierw przez 14 osób, a później lista „podpisujących” KOR-owców liczyła przeszło trzydzieści osób. A osób skupionych wokół i wspomagających działalność KOR-u było coraz więcej.

KOR-u profesora Edwarda Lipińskiego, który był, tak samo jak mój dziadek, profesorem ekonomii. Oni się jeszcze w czasie wojny dobrze znali. Profesor skierował mnie do Mirka Chojeckiego, a ten do Zofii i Zbigniewa

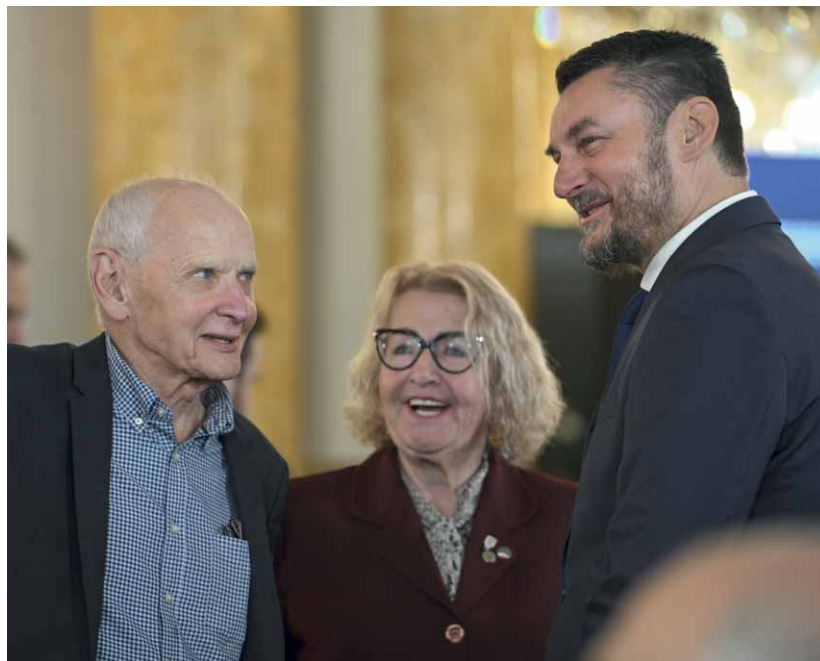
bionym przez komunistyczne władze, zwłaszcza przez bezpiekę. Stanowiło jakby dalszy ciąg akcji pomocy dla robotników z Radomia i Ursusa po ich wystąpieniach z czerwca 1976 roku. Jasne było, że potrzeba tam prawników, zwłaszcza adwokatów, więc dobrze wylądowałem.

Nie obawiał się pan konsekwencji?

Poza wielką przyjemnością, która wynikała stąd, że mieliśmy wszyscy poczucie przydatności, był też pewien dreszcz emocji: czy nas zamkną, czy nie zamkną. Poza tym pamiętajmy, że więzienia za czasów Gierka to była bajka w porównaniu z tym, co było za Bieruta i za Gomułki.

Skąd brała się pana niezgoda na system?

Ona była wtedy dosyć powszechna, więc nie byłem jakiś wyjątkowy. Niechęć do władzy, za którą stało jednak państwo, które Reagan słusznie nazywał „imperium zła”, była w Polsce powszechna. Ja mieszkalem w Trójmieście, gdzie od końca lat 60. funkcjonował Bogdan Borusewicz, przyjeżdży do KOR-u jeszcze jesienią 1976 roku i będący jego działaczem na Wybrzeżu. Gdańsk był w moim pojęciu miejscem szczególnym, jakoś



Mecenas Jacek Taylor, Henryka Krzywonos-Strycharska i Lech Parell podczas uroczystości 50. rocznicy powstania KOR na Zamku Królewskim, 23 września 2026 r. FOT. PAP

Proszę powiedzieć, jak trafił pan do tego środowiska?

Miałem szczęście w 1975 roku poznać Jana Nowaka-Jeziorańskiego i jego żonę. Było to pod koniec jego trwającej ćwierć wieku pracy na stanowisku dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium. Byłem synem i wnukiem osób, z którymi był związany w młodości, w okresie przedwojennym. Dlatego od razu zaliczył mnie do „osób bliskich”. Nasz kontakt i wielka przyjaźń trwały aż do jego śmierci w 2005 roku. Ten kontakt zwłaszcza w latach 70. i 80. uważam za wielki prezent od losu. Pewnie jakoś to mnie ośmielało i pomogło stłumić strach przed bezpieką.

Nie pamiętam dokładnie daty, ale chyba pod koniec roku 1977 zapukałem do drzwi mieszkania członka

Romaszewskich, którzy prowadzili Biuro Interwencyjne KOR-u. Biuro było po to, by pomagać ludziom gnę-



Internowani w Kwidzynie zostali brutalnie pobici przez kłwiszy. Po latach wróciła kwestia rozliczania takich czynów jako zbrodni komunistycznych FOT. AIPN

ośmielającym. Tu pamiętało się lata 1956, 1968 i 1970. Tamte wydarzenia i atmosfera jakoś z nami pozostały.

W kwietniu 1978 roku ogłoszono przez Radio Wolna Europa i poprzez ulotki, że w Trójmieście tworzą się Wolne Związki Zawodowe. W ich działalność od początku zaangażowani byli m.in. Bogdan Borusewicz oraz Joanna i Andrzej Gwiazdowie. Było dla mnie zupełnie oczywiste, że adwokat się im przyda. Latem 1978 roku Andrzej Gwiazda został oskarżony w drobnej sprawie karnej i w sierpniu mogłem zadebiutować jako jego obrońca. Byliśmy wtedy wszyscy ogromnie zaprzyjaźnieni i tak się zaczęło.

Z jakimi sprawami przychodzili ludzie współpracujący z KOR-em?

Przed sierpniem 1980 roku spraw karnych politycznych albo na tle politycznym było niewiele. Po sprawie Gwiazdy, od początku zimy 1979 roku aż do wiosny 1980 roku, razem z adwokatem Władysławem Siłą-Nowickim z Warszawy jeździłem do Grudziądza na długotrwały proces współpracownika KOR-u Edmunda Zadrożyńskiego i jego synów. W kwietniu 1980 roku rozpoczęła się sprawa karna w Słupsku, dotycząca Marka Kozłowskiego, tamtejszego działacza KOR-u. Prawdziwa fala spraw karnych nadeszła dopiero wraz z wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego w grudniu 1981 roku.

Czym tamte procesy różniły się od procesów w państwie demokratycznym?

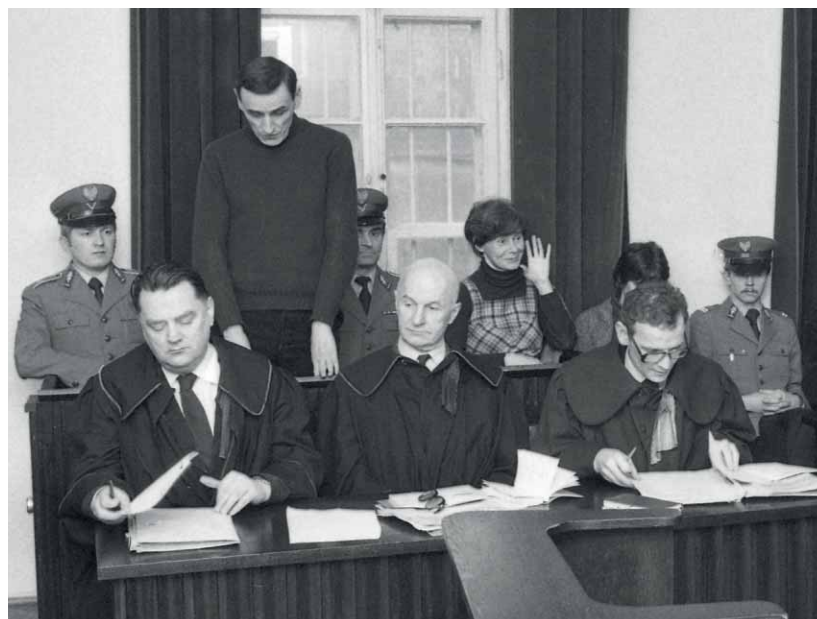
Sprawy karne w latach 80. nie miały nic wspólnego z prawem karnym obowiązującym w krajach demokratycznych. To była po prostu jedna z metod walki z politycznymi przeciwnikami i to szło bez żadnych osłonek. Zarzucano ludziom popełnienie czynów rzekomo przestępczych, które w cywilizowanych krajach nie są żąd-

nymi przestępstwami albo wręcz bywają zachowaniami zasługującymi na aprobatę społeczną.

I tak zasadniczym przestępstwem, można powiedzieć przestępstwem dyżurnym, w okresie stanu wojennego było niezaniechanie działalności związkowej, czyli działalności w Solidar-

a ponieważ była jeszcze kara śmierci, to teoretycznie można było za cokolwiek dostać karę śmierci.

Ewa Kubasiewicz, obywatelka Gdyni, została w Sądzie Marynarki Wojennej w Gdyni skazana na 10 lat pozbawienia wolności za to, że przez dwa dni była przewodniczącą straj-



Proces organizatorów Radia Solidarność w Sądzie Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Obrońcy: mec. Jan Olszewski, mec. Władysław Siła-Nowicki, mec. Jacek Taylor, Warszawa, luty 1983 r. FOT. PAP

ności. Solidarność była traktowana jako zorganizowany wróg ustroju, choć przecież była dozwolona przez prawie 16 miesięcy w latach 1980–1981 i powstała na skutek umowy między strajkującymi a władzami. Nagle okazało się, że wszystko, co się wtedy działo i miało jakikolwiek związek z Solidarnością, jest przestępstwem.

Jeśli po 13 grudnia 1981 roku ktoś publicznie napisał i pokazał słowo „Solidarność”, to szedł do paki. Instrukcje, jakie otrzymały prokuratury i sądy, były takie, by karać pozbawieniem wolności bez zawieszenia. Wprowadzono tak zwany tryb doraźny, czyli postępowanie jednoinstancyjne i zagrożone każdą karą. W postępowaniu doraźnym nie obowiązywał żaden limit kary w górę,

ku w Wyższej Szkole Morskiej. Jej zastępcą dostał dziewięć lat. Władze jakoś się tego nie wstydziły. Skazywały ludzi za otwarte manifestowanie przekonań. Chodzenie z napisem „Solidarność” w klapie to był po prostu kryminal, a posiadanie gazetek solidarnościowych było karane bezwzględnym więzieniem.

Skala tych represji, ich masowość i surowość bardzo odstępowały od okresu Gierka, choć na szczęście nie przybrały takich rozmiarów jak represje powojenne, kiedy ludzi pozbawiano życia za to, że byli patriotami, mieli za sobą przeszłość wojenną i zasługi wojenne.

Czy była sprawa, która szczególnie pokazała panu mechanizm działania władzy, sądów czy prokuratury?



Jacek Taylor podczas spotkania bohaterów i bohaterek Sierpnia '80 w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. Obchody 44. rocznicy Sierpnia 1980 oraz powstania NSZZ „Solidarność”, 31 sierpnia 2024 r. FOT. PAP



Uroczystość z okazji 35-lecia KOR-u w ogrodach Pałacu Prezydenckiego w Warszawie. Jacek Taylor odbiera Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego FOT. PAP

W tamtym czasie żadnej uczciwości nie można się było spodziewać. W miarę potrzeby zmieniano przepisy karne, dla potrzeby chwili, w sposób, powiedziałbym, oszukańczy. Nie wstydzono się skazywać nawet wtedy, gdy z postępowania dowodowego, z procesu, wynikało, że było odwrotnie niż mówiło oskarżenie.

Latem 1982 roku w więzieniu w Kwidzynie, gdzie przebywało ponad

100 internowanych mężczyzn, doszło do masowego pobicia. Uzbrowieni w pały i tarcze kławisze pobili ok. 150 internowanych, w tym kilka osób tak ciężko, że o mało nie umarli. Potem oskarżono najczęściej pobitych o to, że pobili strażników, choć było dokładnie odwrotnie i postępowanie dowodowe, a także zeznania świadków jasno to w sądzie pokazały.

Proces toczył się miesiącami w Elblągu, przed sądem wojewódzkim, czyli dzisiejszym okręgowym. Sądono tych pobitych i ich w końcu skazano. Siedzieli. Wszystko, co zrobili, polegało na tym, że uderzali łyżkami w blaszane talerze, domagając się wypuszczenia krewnych, którzy przyjechali ich odwiedzić. Rodziny stały godzinami przed płotem więziennym, często po podróży z drugiego końca Polski. Szefostwo więzienia, wykonując zresztą polecenie bezpieki, nie wpuściło nikogo.

Po latach wróciła kwestia rozliczenia takich czynów jako zbrodni komunistycznych, w tym także rozliczenia byłych strażników z Kwidzyna.

W 1995 roku, gdy byłem posłem, udało się doprowadzić do uchwalenia przepisu o tym, że te zbrodnie się nie przedawniły. Miałem w tym swój znaczący udział i pomoc profesora An-

drzeja Murzynowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego.

Co zostało panu z doświadczenia KOR-u?

Przede wszystkim przekonanie, że samo ujawnienie krzywdy ludzkiej w państwie niedemokratycznym ma podstawowe znaczenie. Krzywdzony nie może być sam, organizowanie pomocy już jest walką o wolność. Robotnik w Radomiu, współpracownik opozycji w Grudziądzu, internowany w Kwidzynie, student z gazetką w kieszeni złapany na ulicy – oni nie mogli być pozostawieni samym sobie. KOR jako pierwszy tę pomoc organizował. Zmienił nas.

Trzeba zaczynać od krzyku, który jest obroną słabszego. Robiliśmy to i nie tylko to.

Jak z tej perspektywy patrzy pan dziś na wymiar sprawiedliwości i rolę adwokatury?

Doświadczenie tamtych lat uczy, że instytucje prawa nie są dane raz na zawsze. Można je osłabić, można je podporządkować, można doprowadzić do tego, że ludzie przestają rozumieć, po co im niezależny sąd, niezależna prokuratura i niezależny adwokat. Jestem głęboko przekonany, że gdy niszczy się zaufanie do wymiaru sprawiedliwości, skutki nie kończą się wraz ze zmianą władzy, lecz zostają w instytucjach i w ludzkich głowach. Człowiek zaczyna myśleć, że czarne niekoniecznie jest czarne, a prawo jest tylko narzędziem tych, którzy akurat rządzą. Widzimy też, że przywracanie porządku jest zawsze trudniejsze niż jego niszczenie. Dlatego rola adwokatury pozostaje, w moim przekonaniu, ta sama: stać przy człowieku, kiedy państwo jest od niego silniejsze, i pilnować, żeby prawo nie stało się jedynie dekoracją.

**Rozmawiał
Norbert Nowotnik**

PO OBU STRONACH FRONTU – WOJENNA DROGA WIKTORA SZOŁTYSKA



FOT. FOTOGRAFIA Z KSIĄŻKI „PO OBU STRONACH FRONTU”

TEKST | Dorota
Gałaszewska-Chilczuk

Miał niespełna czternaście lat, gdy wojna przyszła do jego rodzinnej Gostyni. Zamiast rozpocząć kolejny etap nauki, zobaczył niemieckich żołnierzy, którzy zajęli jego miejscowość. Kilka lat później, pod przymusem, został wcielony do Wehrmachtu. Przed końcem wojny, już z własnej woli, założył mundur z polskim orłem i jako żołnierz 2. Korpusu Polskiego walczył o Bolonię.

Losy Wiktora Szołtyśki są częścią doświadczeń tysięcy mieszkańców Górnego Śląska, których po przyłączeniu regionu do III Rzeszy poddawano germanizacji, kierowano do pracy przymusowej i wcielano do Wehrmachtu. Niezwykłym świadectwem jego wojennej drogi pozostał prowadzony w tamtych latach dziennik, opublikowany po latach pt. „Po obu stronach frontu. Dziennik śląskiego żołnierza 1943–1947”.

Wojna zamiast szkoły

Wiktor Szołtysek urodził się 3 listopada 1925 roku w Wyrach na Górnym Śląsku, a wychował w sąsiedniej Gostyni, gdzie jego rodzice wybudowali dom. Należał do pierwszego pokolenia wychowanego w odrodzonej Polsce. Jego dzieciństwo przerwał wybuch II wojny światowej. Jedną z pierwszych cywilnych ofiar wojny był wuj Wiktora, Wilhelm Szołtysek. Gostyń znalazła się pod niemiecką oku-

pacją, która przyniosła terror i germanizację, a Górny Śląsk w całości został przyłączony do III Rzeszy. Zlikwidowano polskie instytucje i organizacje, język niemiecki narzucono w szkołach i urzędach, a mieszkańców poddano segregacji narodowościowej. Szczególnie tragiczne konsekwencje miało to dla młodych Ślązaków. Wielu najpierw kierowano do przymusowej pracy, a później wcielano do Wehrmachtu. Taki los spotkał również Wiktora.

W 1940 roku, jako piętnastolatek, Wiktor został wysłany do Wrocławia na naukę ślusarstwa, a następnie pracował w niemieckim przemyśle. W sierpniu 1943 roku, w wieku 17 lat, został przymusowo wcielony do Wehrmachtu i po krótkiej służbie na południu Francji, w lutym 1944 roku, trafił na front włoski jako żołnierz

cji w szpitalu powrócił na front, ale w maju otrzymał urlop i udał się do rodzinnej Gostyni. Był to jeden z najszczęśliwszych okresów w jego życiu – spotykał się z przyjaciółmi, grał na akordeonie podczas zabaw tanecznych i spędzał czas z miejscowymi dziewczętami. Na krótko mógł znów żyć jak zwyczajny młody człowiek.

Włoska pomoc

Po dotarciu w okolice Castelfiorentino w Toskanii Wiktor spotkał trzech młodych Włochów, w tym Alighiero Casamontiego, którzy zgodzili się mu pomóc. Zabrali go do gospodarstwa w Oliveto. Rodziny Casamontich, Bartaluccich i Giorlich otworzyły przed nim swoje drzwi. Mimo że nadal nosił niemiecki mundur, został przyjęty jak własny syn. Mieszkańcy nakazali dzieciom milczenie, by chronić dezertera zarówno przed Niemcami, jak i przed włoskimi partyzantami.

Dziewczęta z gospodarstwa przebrały jego mundur tak, by wyglądał jak cywilne ubranie. Wiktor zapisał w dzienniku z wdzięcznością: *Anda z Peroną to zmajstrowały. Zgrabna niebieska kurtka, krótkie spodenki tego samego koloru, długie spodnie i koszulę przefarbiły na kolor niebieski. Kochane dziewczyny. Ukrywał się głównie w młynie, odwiedzając się za pomoc pracą – pomagał przy młóceniu zboża, koszeniu trawy i naprawach. Doradził też budowę podziemnego schronu, który później uratował życie mieszkańcom podczas przejścia frontu.*

Dla obu stron było to ogromne ryzyko. Wiktorowi jako dezertrowi groziła śmierć z rąk Niemców, a rodziny udzielające schronienia narażały własne życie. 26 czerwca Wiktor zanotował z ulgą: *Z radością zrzuciłem swój mundur, w którym już rok przetrwałem. Jednak kilkanaście dni później pisał z niepewnością: Żyję jak dziki zwierz. Nie wolno mi zapomnieć, że od strony Niemców mnie tylko kulka w łeb czeka.*

Szczęśliwie 24 lipca 1944 roku Niemcy wycofali się, co Wiktor odnotował z radością: „Niemcy uciekli. Cieszyliśmy się bardzo”. Zarówno jego dezercja, jak i decyzja włoskich rodzin o udzieleniu mu pomocy wymagały wielkiej odwagi.



Podczas wykładu, z lewej Wiktor Szołtysek. Sarnano, 18 września 1945 r.
FOT. FOTOGRAFIA Z KSIĄŻKI „PO OBU STRONACH FRONTU”



Pod strzelnicą w Sarnano, 13 lutego 1946 r.
FOT. FOTOGRAFIA Z KSIĄŻKI „PO OBU STRONACH FRONTU”

362. Dywizji Piechoty. Jego wojenna tułaczka przez Niemcy, Francję i Włochy stała się częścią dramatycznych losów tysięcy Ślązaków podczas II wojny światowej.

„Kto by pomyślał, że te kości takie mocne!”

Wiosną 1944 roku Wiktor walczył we Włoszech. Po okresie rekonwalescen-

Żyję jak dziki zwierz. Nie wolno mi zapomnieć, że od strony Niemców mnie tylko kulka w łeb czeka

Nie chciał wracać do służby w Wehrmachcie i wraz z kolegami szukał sposobu, by jej uniknąć – posunął się nawet do próby złamania ręki, by uzyskać zwolnienie. W swoim dzienniku odnotował z młodzieńczą ironią: „Kto by pomyślał, że te kości takie mocne!”. 18 czerwca wsiadł jednak do pociągu jadącego do Wiednia, skąd miał wrócić do swojej jednostki we Włoszech. Nie zamierzał jednak pogodzić się z narzuconym mu losem.

Polski mundur

Ostatecznie Wiktor znalazł się po stronie aliantów i trafił do obozu przejściowego w Neapolu. Po przesłuchaniu został skierowany do polskiego wojska. Na początku września 1944 roku otrzymał kategorię A i przydzielono go do 3. Dywizji Strzelców Karpackich 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Jego droga z Wehrmachu do polskich oddziałów nie była czymś wyjątkowym wśród Górnoślązaków. Tysiące Polaków wcześniej przymusowo wcielonych do armii niemieckiej zasiliły później Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie.

Zmiana munduru miała dla Wiktora ogromne znaczenie. Podczas pierwszej warty w San Basilio koło Matery rozmyślał o tym, jak bardzo zmieniło się jego życie w ciągu kilku miesięcy - jeszcze niedawno wracał z urlopu jako żołnierz Wehrmachtu, a teraz pełnił wartę w polskim mundurze, traktując to jako swój „obowiązek i honor”.

3 listopada 1944 roku, w dniu swoich dziewiętnastych urodzin, Wiktor wspominał rodzinną Gostyń: *Od 14-ego roku życia nie miałem szczęścia spędzić urodzin w domu. Wszystkiemu winna wojna. Teraz znajduję się tysiące kilometrów od domu (...). W domu mnie dziś będą wspominać. Nie wiadomo, w jaki sposób. Może myślą, że już nie żyję. Jego myśli wciąż krążyły wokół bliskich i niepewnego losu rodziny.*

Walki o Bolonię

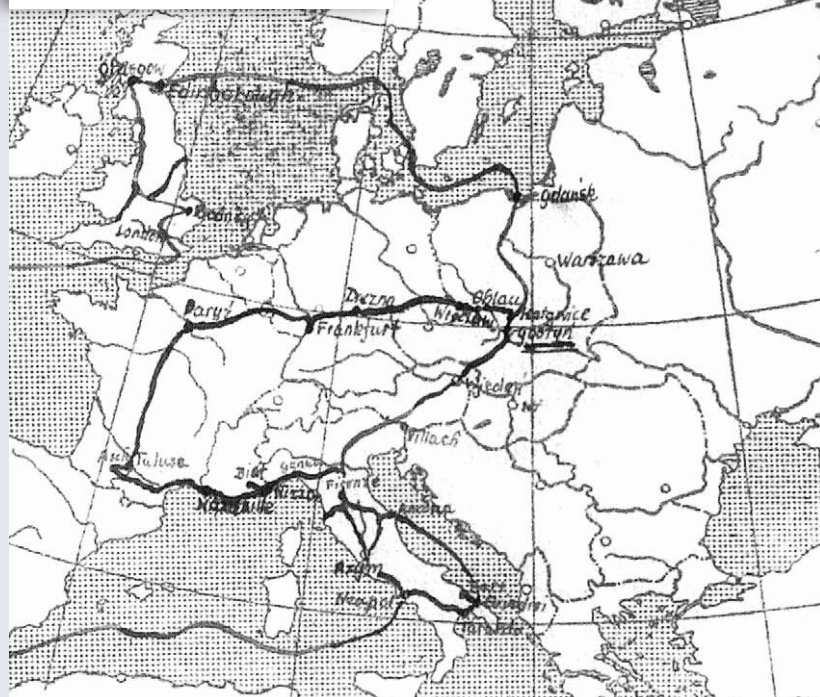
W grudniu 1944 roku Wiktor wyruszył w kierunku Ankony, a Boże Narodzenie spędził w Predappio. W lutym 1945 roku został przydzielony do 10. Pułku Artylerii Ciężkiej i wziął udział w ostatniej wielkiej operacji 2. Korpusu Polskiego, odpowiadając za przygotowanie do ognia czterech dział baterii.

Od chwili, gdy jako nastolatek obserwował wkroczenie Niemców do

rodzinnej miejscowości, minęło ponad pięć i pół roku. Teraz, w polskim mundurze, brał udział w ofensywie

12 kwietnia Wiktor zapisał: *Zaraz z rana ruch. Zmiana stanowiska. Roboty więcej jak dość. Około 9-tej ruszyła bateria w drogę, wzniecając tumany kurzu na piaszczystej przyfrontowej drodze. Mijamy rzeczkę Senio, nad którą prawie całą zimę bronili się Niemcy. Można po części zaobserwować spustoszenia spowodowane naszymi pociskami. Zajeżdżamy na*

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Mapa zamieszczona w dziennikach i zatytułowana przez autora „Szlakiem mojej wędrówki w latach 1943-47 r.” FOT. ILUSTRACJA Z KSIĄŻKI „PO OBU STRONACH FRONTU”

przeciwko armii, do której sam został wcześniej przymusowo wcielony.

Droga do Bolonii prowadziła przez równinę poprzecinaną rzekami i kanałami, których wysokie wały oraz gęsta, murowana zabudowa tworzyły dogodne pozycje obronne. Polacy musieli kolejno forsować rzeki Senio, Santerno, Sillaro, Gaiana i Quaderna, przełamując niemiecki opór.

stanowiska. Sprawdzam działa, które wkrótce będą strzelać. Wojna... Cztery dni później notował: Śpi się teraz przeważnie pod gołym niebem. Nie oplaca się stawiać namiotu. Roboty dużo.

21 kwietnia 1945 roku żołnierze 2. Korpusu Polskiego wkroczyli do Bolonii. Jako pierwszy do miasta wszedł 9. Batalion Strzelców Karpackich, utworzony zaledwie kilka mie-



W porcie neapolitańskim, chwilę przed wyjazdem z Włoch, 12 sierpnia 1946 r. FOT. FOTOGRAFIA Z KSIĄŻKI „PO OBU STRONACH FRONTU”

sięcy wcześniej i składający się niemal w całości z Polaków, którzy wcześniej służyli w Wehrmachcie. Historia zatoczyła niezwykle koło: ludzie przy-musowo ubrani w niemieckie mun-dury kończyli wojnę, wyzwalając włoskie miasto jako żołnierze polskiej armii.

Kilka dni później wojna we Włoszech dobiegła końca. 29 kwietnia w Casercie podpisano akt bezwarunkowej kapitulacji wojsk niemieckich na froncie włoskim. Wiktor zapisał wówczas w dzienniku pytanie, które musiało towarzyszyć wielu polskim żołnierzom: „Co będzie dalej?”. Wojna się kończyła, ale droga do domu wciąż pozostawała niepewna.

Powrót

Po zakończeniu działań wojennych Wiktor pozostał w 2. Korpusie. W sierpniu 1946 roku wraz z polskimi żołnierzami wyjechał z Włoch do Wielkiej Brytanii, gdzie uczył się w Polskiej Szkole Karpackiej.

Mógł pozostać na emigracji. Wielu żołnierzy gen. Andersa zdecydowało się właśnie na takie rozwiązanie, obawiając się powrotu do Polski znajdującej się pod rządami komunistów. Wiktor wybrał inaczej. Chciał wrócić do domu, do bliskich. W lipcu 1947 roku wyruszył statkiem z Wiel-

Droga do Bolonii pro-wadziła przez równinę poprzecinaną rzekami i kanałami, których wysokie wały oraz gęsta, murowana zabudowa tworzyły dogodne pozycje obronne

kiej Brytanii do Gdańska. Po przejściu przez obóz repatriacyjny 19 lipca dotarł wreszcie do Gostyni. Po blisko ośmiu latach od wybuchu wojny jego tułaczka dobiegła końca.

Próbował rozpocząć życie, które wojna przerwała mu, gdy był nastolatkiem. W 1948 roku podjął naukę w Liceum Mechanicznym w Dworach koło Oświęcimia. Dwa lata później ożenił się z Martą Świerkot. Pracował zawodowo, urodzili im się dwaj synowie – Henryk i Jan. Z czasem coraz większym problemem stawał się jednak jego stan zdrowia. Choroba stopniowo ograniczała jego możliwości.

Wiktor Szołtysek zmarł 21 listopada 1971 roku w Gostyni. Miał zaledwie 46 lat.

Dziennik

Pozostał po nim niezwykle ciekawy dokument – dziennik, w którym na bieżąco zapisywał swoje przeżycia, nie wiedząc, jaki będzie ich dalszy ciąg. Obok wielkiej historii znalazły się w nim strach, tęsknota za domem, ciekawość świata, chwile radości i zwyczajne problemy młodego człowieka rzuconego w wir wojny. Opublikowane po latach przez jego synów, Jana i Henryka, zapiski stały się świadectwem niezwyklej drogi śląskiego żołnierza – od Wehrmachtu do 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa.

Historia Wiktora Szołtyśka przypomina o losach tysięcy mieszkańców Górnego Śląska, którym podczas II wojny światowej okupant narzucał język, pracę, obywatelstwo, a w końcu także mundur. Wiktor nie miał wpływu na to, że wojna wybuchła, gdy miał trzynaście lat, ani że zostanie wcielony do niemieckiej armii. Kiedy jednak pojawiła się możliwość dokonania własnego wyboru – skorzystał z niej. Zrzucił niemiecki mundur i dołączył do polskich oddziałów, kończąc wojnę jako żołnierz walczący o wolność. ■

82 LATA PÓŹNIEJ

– podziękowanie za ocalenie życia Wiktora Szołtyska

W Teatro del Popolo w Castelfiorentino odbyła się wzruszająca uroczystość, podczas której podziękowano mieszkańcom Toskanii za ocalenie życia Wiktora Szołtyska. Przypomniano o rodzinach Giorli, Casamonti, Bartalucci i Martini, które uhonorowano polskimi odznaczeniami – Medalami „Pro Bono Poloniae”. Dziś historia Wiktora, sprzed 82 lat, jest również częścią dziejów tych włoskich rodzin.



W uroczystości uczestniczyli: szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell, ambasador RP we Włoszech Ryszard Schnepf, konsul honorowy RP we Florencji Stefano Barlacchi, przedstawiciele polskiej placówki dyplomatycznej, burmistrz Castelfiorentino Francesca Gianni, rodziny odznaczonych oraz mieszkańcy miasta.

Dziękując władzom Castelfiorentino i jego mieszkańcom, Lech Parell zwrócił uwagę na bezinteresowność i odwagę tych, którzy w czasie wojny zdecydowali się pomóc nieznanemu sobie człowiekowi, podejmując przy tym ogromne ryzyko. W czasie, gdy wojna dzieliła ludzi według narodowości i mundurów, mieszkańcy miasta dostrzegli przede wszystkim człowieka potrzebującego pomocy. Podkreślił, że ich czyn miał znaczenie wykraczające poza uratowanie życia jednego człowieka – stał się także ważnym świadectwem polsko-włoskiej solidarności i przyjaźni.

Lech Parell przypomniał również losy tysięcy Polaków, którzy podczas II wojny światowej służyli w Wehr-

machcie, a następnie przechodzili do armii generała Władysława Andersa. Wielu z nich znalazło się w Wehrmachcie pod przymusem, a ich wojenne losy przez dziesięciolecia pozostawały tematem trudnym i kontrowersyjnym. Wielu bohaterów tej historii oraz członkowie ich rodzin przez lata ukrywali tę przeszłość.

Szacuje się, że z samego Śląska do Wehrmachtu trafiło ok. 200 tys. mieszkańców. Do 1 maja 1945 roku do armii gen. Andersa wstąpiło ponad

25 tys. żołnierzy, którzy wcześniej służyli w armii niemieckiej.

Szef Urzędu przypomniał, że gdy Brytyjczycy pytali generała Andersa, skąd weźmie uzupełnienia dla swojej armii, ten miał odpowiedzieć: „Uzupełnienia przyjdą do nas z frontu”. Anders wiedział, że Polacy służący w Wehrmachcie chcą przejść do polskiej armii i rzeczywiście do takich przejść dochodziło. Z alianckich samolotów zrzucane były ulotki, które zawierały apel, by nie strzelali do Po-



FOT. UDŚKIOR



ojciec w wieku 13-14 lat



FOT. UDSKiOR (4)

Dziennik śląskiego żołnierza 1943–1947” ukazał się w 2019 roku i jest cennym źródłem wiedzy na temat losów Ślązaków wcielonych do Wehrmachtu i ich drogi do armii gen. Andersa. To właśnie dzięki ich pracy historia ojca nie została zapomniana.

Po ponad 80 latach losy Wiktora oraz mieszkańców Castelfiorentino, którzy udzielili mu pomocy, ponownie połączyły Polskę i Włochy. Ich historia została nie tylko przypom-



W czasie, gdy wojna dzieliła ludzi według narodowości i mundurów, mieszkańcy miasta dostrzegli przede wszystkim człowieka potrzebującego pomocy

Medalem „Pro Bono Poloniae” odznaczeni zostali: Roberta Giorli, Ameris Giorli, Maria Giorli, Francesca Gianni, Roberta Casamonti, śp. Eleonora Bartalucci, Paolo Martini oraz Roberto Giorli. Medalem „Pro Patria” odznaczeni zostali Henryk Szoltysek i Jan Szoltysek.



laków, przy pierwszej okazji uciekali, a w przypadku dostania się do niewoli żądali kontaktu z polskim dowódcą.

– I tak działo się na wielką skalę – podkreślił w wystąpieniu szef UDSKiOR, nawiązując do masowych dezercji Polaków z Wehrmachtu. – Zależy mi bardzo, aby takie historie jak ta (...) wychodziły na światło dzienne, aby wszyscy i w Polsce, i w Italii o nich się dowiadawali. Rozumiecie teraz bardzo dobrze, dlaczego ta opowieść o Wiktorze SzoltySKU jest

dla nas tak niezwykle ważna. To jest część naszej i Waszej historii. Niech żyje przyjaźń polsko-włoska.

Historia Wiktora SzoltySKa jest wielowymiarowa. Łączy ludzi ponad granicami, pokazując, że w obliczu wojennej tragedii najważniejszy pozostaje człowiek – niezależnie od munduru, armii czy narodowości. Na jego życie wpłynęli ludzie, którzy nie znali go wcześniej, a mimo to zdecydowali się udzielić mu schronienia. – Ludzie, którzy dali mu schronienie, wiedzieli, że za pomoc dezertierowi z Wehrmachtu groziła śmierć całej rodziny. A jednak rodziny Giorli, Casamonti, Bartalucci i Martini otworzyły przed nim swoje drzwi – tak o historii ojca mówił również syn Wiktora SzoltySKa, Jan Szoltysek, który wspólnie z bratem Henrykiem wydał dziennik ojca. „Po obu stronach frontu.

niana, ale również oficjalnie uhonorowana.

Na zakończenie uroczystości burmistrz Castelfiorentino Francesca Gianni wręczyła odznaczonym dyplomy honorowe miasta. Były one wyrazem uznania dla postawy ich przodków, którzy w czasie wojny udzielili Wiktorowi SzoltySKOWI pomocy i schronienia. Dyplomy otrzymali również Henryk i Jan SzoltySKowie – w uznaniu ich zaangażowania w kultywowanie pamięci o ojcu oraz upowszechnianie jego historii. Szef Urzędu uhonorował ich także Medalem „Pro Patria”.

To wyjątkowe świadectwo odwagi pokazuje, że pamięć może przetrwać pokolenia. Może także ponownie łączyć ludzi, którzy wiele dekad wcześniej znaleźli się po dwóch stronach wojennej historii.

red.

NIEPOKORNE 1976–1989

Przywracanie pamięci



Agnieszka Grzybek
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

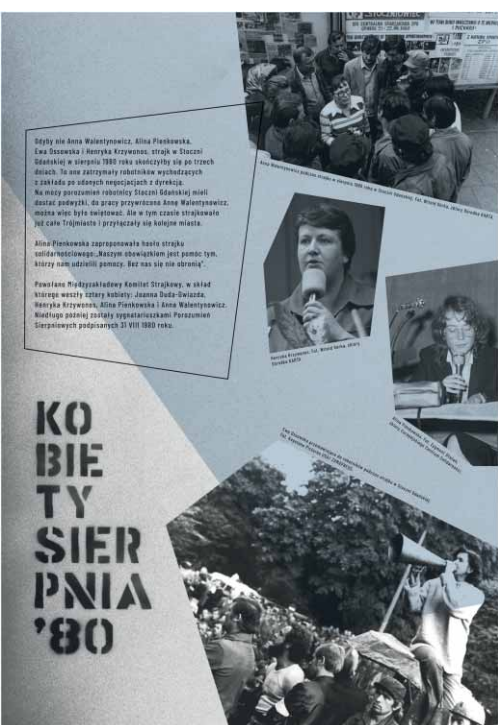
Anna Czerwińska
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

W powszechnej świadomości opozycja w PRL kojarzy się ze strajkami, stoczną bramą i ulicznymi starciami z ZOMO. Wystawa „Niepokorne 1976–1989” odsłoniła jednak tę cichszą, codzienną stronę oporu. O tym, na czym polegała specyfika kobiecego zaangażowania i jak ten „prozaiczny” trud dopełnia narrację o bohaterstwie, opowiadają kuratorki ekspozycji Anna Czerwińska i Agnieszka Grzybek.

To skojarzenie można uzupełnić o jeszcze kilka stałych rekwizytów: wąsy Lecha Wałęsy, wizerunek Matki Boskiej wpięty w kłapę i wielgachny długopis, którym Wałęsa podpisywał porozumienia sierpniowe. Wszystkie te symbole łączy jedno – są mę-

skie. Jeden z ówczesnych działaczy ujął to wprost, nazywając opozycję „zakonem męskim”. Dyskusja o udziale kobiet w demokratycznej opozycji trwa już ponad 30 lat. Zapoczątkował ją artykuł Shany Penn z 1994 roku („Tajemnica państwowa” w „Pełnym Głosie”, nr 2/1994). Jej kolejnymi

etapami były debata na łamach „Gazety Wyborczej”, ze słynnym tekstem Agnieszki Graff „Patriarchat po seksmisji” z 1999 roku, oraz film i książka Marty Dzido i Piotra Śliwowskiego „Solidarność wg kobiet”. Nasza wystawa to kontynuacja tej sztafety przywracania pamięci.



Zależało nam na tym, żeby kompleksowo pokazać działalność kobiet w opozycji, a przede wszystkim ich sprawczość i podmiotowość. Ich udziału nie można sprowadzać wyłącznie do roli pomocniczej. Owszem, „prozaiczny” trud logistyczny był gigantyczny. Kobiety genialnie wykorzystywały tradycyjne role społeczne jako tarczę ochronną przed bezpieczeństwem – „bibułę” i podziemną prasę przenosiły w siatkach z zakupami albo ukrywały w dziecięcych wózkach.

Jednak kobiecie zaangażowanie to przede wszystkim pełna sprawczość polityczna. Gdy w maju 1977 roku, po śmierci Stanisława Pyjasa, SB aresztowała męskich członków KOR-u, to właśnie kobiety uratowały komitet przed rozbiciem. Halina Mikołajska została rzeczniczką, Anka Kowalska pisała oświadczenia, Aniela Steinsbergowa zapewniała konsultacje prawne, a Gajka Kuroń spinała całe zaplecze. Jacek Kuroń wspominał później z podziwem, że był pewien końca KOR-u, tymczasem dzięki kobietom organizacja wręcz rozwinęła skrzydła.

Podobnie było w sierpniu 1980 roku. Gdy Lech Wałęsa ogłosił zakończenie strajku po wynegocjowaniu postulatów ekonomicznych, determinacja Anny Walentynowicz, Aliny Pińkowskiej, Henryki Krzywonoś i Ewy Ossowskiej zatrzymała robotników na terenie stoczni. To one uratowały strajk solidarnościowy, który zmienił bieg historii.

Często mówi się, że bez kobiet podziemna machina po prostu by stanęła. Które obszary konspiracyjnej logistyki opierały się głównie na ich pracy? Kierowały codziennym krwioobiegim konspiracji: były łączniczkami, pisały teksty, organizowały kolportaż, prowadziły sieć bezpiecznych mieszkań i ukrywały opozycjonistów. W momentach kryzysowych natychmiast przejmowały przywództwo. Przykładem może być stworzenie i prowadzenie

jednego z najważniejszych pism podziemia, czyli „Tygodnika Mazowsze”, którego trzon redakcyjny stanowiły wyłącznie kobiety. Kobiety wykazywały się przy tym niezwykłą inwencją techniczną. Bogusława Blajfer już w 1968 roku stworzyła domowy powielacz z wyżymaczki pralki „Frania”. Z kolei we Wrocławiu Barbara Sarapuk zrewolucjonizowała podziemną poligrafię, wprowadzając techniki sitodruku, co całkowicie zmieniło ówczesne możliwości wydawnicze.

Kobiety ponosiły przy tym ogromne, osobiste koszty, o czym opowiada jedna z plansz na naszej wystawie, zatytułowana „Konspirotorki”. Początkowo chcieliśmy wypisać na niej wszystkie nazwiska działaczek figurujących w „Encyklopedii Solidarności”, aby pokazać, że opozycja to nie tylko pięć czy sześć powszechnie znanych liderów, ale potężny ruch tysięcy zaangażowanych kobiet. Przy wymienianiu nazwisk zawsze istnieje jednak ryzyko, że kogoś się pominie. Dlatego zdecydowałyśmy się na umieszczenie tam poruszających fragmentów ich biografii. Te krótkie opisy najlepiej ilustrują cenę, jaką przyszło im zapłacić. Czytamy tam o kobietach, którym w celach odmawiano podania leków, które skazywano na wieloletnie kary więzienia, pozbawiano kontaktu z dziećmi, a nawet bezprawnie odbierano im dzieci. Gdy patrzy się na biogramy represjonowanych mężczyzn – choć oni również przecież straszliwie cierpieli – rzadko pojawia się tam motyw kary polegającej na całkowitym odebraniu możliwości kontaktu z własnym dzieckiem. Może dla mężczyzn brak kontaktu z dzieckiem nie był taką karą – przewidywano, że z dzieckiem zostanie wtedy matka. Ale jeśli to matka konspiruje?

Kobiety radziły sobie tak dobrze, ponieważ doskonale potrafiły wykorzystać fakt, że bezpieczeństwo początkowo ich nie doceniała. Funkcjonariusze SB, kierując się patriarchalnym myśle-

niem, zakładali, że nie są one zdolne do skomplikowanych działań dywersyjnych i rzadziej brali je na celownik. Dzięki temu mogły robić rzeczy, które dla mężczyzn były już zbyt ryzykowne.

Zakładam, że praca nad wystawą wymagała przejrzenia setek prywatnych archiwów bohaterek. Która z odnalezionych fotografii lub który dokument miał dla was największy ładunek emocjonalny lub kryje w sobie najbardziej zaskakującą historię?

Bez wątpienia jest to niezwykle zdjęcie dwóch kobiet w czarnych maskach, wyglądających jak członkinie radykalnych grup bojowych, które w latach 80. działały na Zachodzie. W rzeczywistości to wrocławskie działaczki Solidarności Walczącej: Ludwika Ogorzelec i Maryla Rybarska. Scena uwieczniona na fotografii przedstawia moment przygotowywania podziemnego listu do papieża Jana Pawła II.

Zależało nam, by na wystawie pokazać nie tylko dobrze znaną, starszą opozycję KOR-owską, ale też ogromne zaangażowanie młodzieży, która – jak wspominała Ewa Kulik-Bielińska – miała zupełnie inne, odważne pomysły na opór. Zdjęcie to było niezwykle trudne do zdobycia, ponieważ nie figurowało w żadnych oficjalnych, ogólnodostępnych bazach cyfrowych. Odnalazłyśmy je dopiero po długich poszukiwaniach w unikalnych zbiorach wrocławskiego archiwum Solidarności Walczącej, kierując tam precyzyjne zapytania o materiały z tajnych drukarni. W ogóle zachowało się bardzo mało fotografii z podziemnych miejsc druku – nikt przecież nie dokumentował nielegalnej pracy, za którą groziło więzienie. Większość znanych zdjęć, na przykład z zasobów Ośrodka KARTA, przedstawia przy maszynach mężczyzn. To wrocławskie archiwum pozwoliło nam odkryć i pokazać coś wyjątkowego: nieznaną

dotąd kadry dokumentujące kobiety pracujące w konspiracji przy sitodruku.

Jak wasze bohaterki radziły sobie ze strachem i co dawało im siłę, by nie rezygnować?

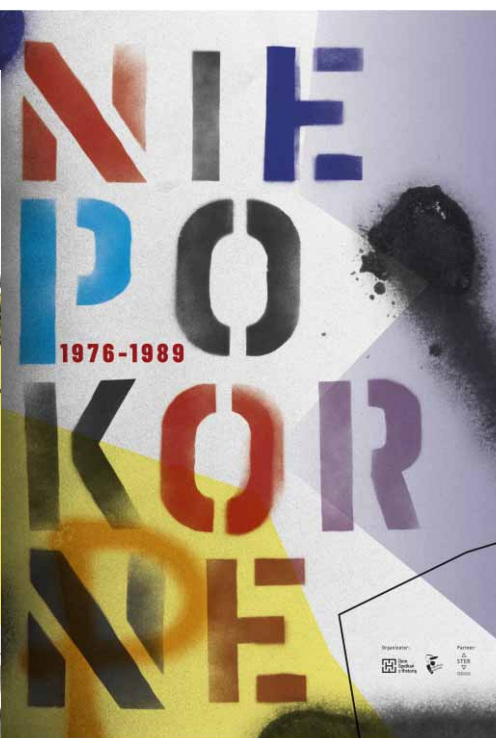
Kobiety po prostu uważały, że walka z systemem to obowiązek – coś, co trzeba zrobić. Ponośliły gigantyczne ryzyko bez kalkulowania, co wydarzy się jutro. Struktura demograficzna podziemia była zróżnicowana. Wiele kobiet wchodziło do konspiracji jako dwudziestolatki. Nie miały jeszcze własnych rodzin, były niezależne i mogły pozwolić sobie na więcej. Taka struktura przypominała wcześniejsze polskie zrywy, choćby powstanie warszawskie. Obok młodych dziewcząt w opozycji działały jednak kobiety starsze. Wybitną postacią na naszej wystawie jest Aniela Steinsbergowa – jedna z pierwszych w Polsce adwokatek. Pamiętała jeszcze czasy odzyskiwania niepodległości w 1918 roku, przeszła przez konspirację w czasie II wojny światowej, a w latach 70. współtworzyła Komitet Obrony Robotników. Dla młodszych działaczek była autorytetem i mentorką.

Cena, jaką płaciły kobiety za swój opór, bywała niszcząca. Aktorka Halina Mikołajska zaangażowała się w pomoc KOR-owi, przez co stała się celem bezwzględnej nagonki SB. Została całkowicie wykluczona zawodowo i poddana tak potwornej inwigilacji oraz presji psychicznej, że poważnie odbiło się to na jej zdrowiu i doprowadziło do próby samobójczej. Z kolei Ewa Kubasiewicz za redagowanie i dystrybucję ulotek wzywających do czynnego oporu po wprowadzeniu stanu wojennego została skazana na 10 lat więzienia. To był jeden z najwyższych wyroków w całym okresie stanu wojennego.

O skali brutalności aparatu bezpieczeństwa świadczą też losy Henryki Krzywonos, która – wbrew potocznej



opinii, że SB „oszczędzało” kobiety – została dotkliwie pobita, co pozostawiło trwałe skutki. Kobiety wykazały się niezłomnością, robiąc swoje bez oczekiwań na późniejsze laury. I faktycznie, po 1989 roku mało która o te zaszczyty walczyła. Gdy patrzymy na oficjalne zdjęcia rocznicowe, kobiet tam prawie nie ma. O ich marginalizacji w wolnej Polsce i trudnej



Na wystawie obok siebie stoją postaci o skrajnie różnych charakterach i późniejszych biografiach politycznych. Co w tamtych latach realnie je spajało? Dlaczego zdecydowaliście się na wybór takich nazwisk?



poczucia odsunięcia na boczny tor – jak w przypadku Anny Walentynowicz czy Zofii Romaszewskiej. Wybrałyśmy bohaterki, które symbolizują określony etap działalności opozycyjnej. Realnym spoiwem ich działalności była walka z systemem – mówiąc górnolotnie – o wolność i demokrację.

Anna Walentynowicz to symbol karnawału Solidarności, zapoczątkowanego sierpniowymi strajkami. Miała szansę zostać przywódczynią Solidarności i była bardzo szanowana przez robotników w stoczni. To przecież m.in. w jej obronie rozpoczął się strajk w sierpniu 1980 roku. Nie zgodziła się objąć tej funkcji, bo uważała, że jako kobieta nie bardzo się do tego nadaje. Później została zmarginalizowana przez Wałęsę, który bał się konkurencji z jej strony.

Helena Łuczywo symbolizuje etap budowania podziemnej prasy – zarówno przed strajkami, jak i później, w stanie wojennym. Oczywiście nie była sama. Towarzyszyły jej Joanna Szczesna, Ludwika Wujec, Anna Bicont i wiele innych. Ewa Kulik-Bielińska dołączyła podczas strajków sierpniowych. Jako młoda studentka z Krakowa, zaangażowana w Studenckie Komitety Solidarności, pojawiła się w mieszkaniu Kuroniów, gdzie usadzano ją przy telefonie. Non stop odbierała i notowała wiadomości. Domowy telefon Kuronia był podany jako kontaktowy w prasie podziemnej – można było zadzwonić w każdej chwili i poinformować o zagrożeniach,

aresztowaniach itp. Ważniejsze jest jednak późniejsze zaangażowanie Kulik-Bielińskiej – to ona odpowiadała za organizację biura mazowieckiej „Solidarności” w stanie wojennym i bezpieczeństwo przywódców „Solidarności”, których nie udało się aresztować. Witold Kulerski i Zbigniew Bujał ukrywali się przez 5 lat w okresie stanu wojennego. Starzy AK-owcy gratulowali jej później skuteczności.

I wreszcie Zofia Romaszewska, która prowadziła Biuro Interwencji „Solidarności”, przygotowywała na konferencję w Madrycie raport o sytuacji w Polsce i pogwałceniu praw człowieka, a w stanie wojennym współorganizowała podziemne radio „Solidarność”. Chodziło o to, żeby pokazać społeczeństwu, że Solidarność żyje, że jeszcze nie wszystko się skończyło. To, że wybrałyśmy te pięć kobiet, nie oznacza, że tylko im poświęcona jest wystawa. One jedynie symbolizują różne etapy i różne aspekty działalności opozycyjnej.

Jak bohaterki wystawy przyjęły fakt, że po przełomie w 1989 roku stery władzy w wolnej Polsce przejęli niemal wyłącznie mężczyźni? Czy ich odejście w cień było naturalnym wyborem, czy efektem ówczesnej kultury politycznej?

Dla części z nich był to wybór naturalny, wynikający z chęci odzyskania prywatnego życia. Działalność w podziemiu brutalnie przerwała ich studia i kariery zawodowe. Mimo to wiele z nich pozostało niezwykle aktywnych w sferze publicznej, choć poza strukturami partyjnymi. Łuczywo przez lata żelazną ręką kierowała „Gazetą Wyborczą” jako zastępczyni redaktora naczelnego, a Kulik-Bielińska od lat z sukcesami szefowała Fundacji im. Stefana Batorego.

Z drugiej strony ich nieobecność w strukturach władzy była bezpośrednim efektem patriarchalnej kultury

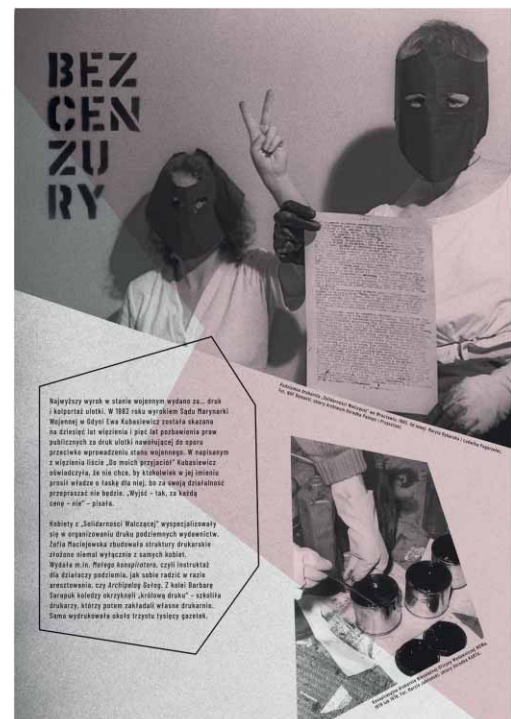
politycznej, o czym jako jedna z wielu głośno mówiła Labuda, przywódczyni dolnośląskiego podziemia. Klasycznym przykładem jest sytuacja Aliny Pieńkowskiej, która w 1989 ro-



ku nie mogła kandydować do parlamentu, ponieważ jej mąż, Bogdan Borsewicz, układał pomorskie listy wyborcze i nie chciał być posądzony o nepotyzm. Co ciekawe, same bohaterki początkowo rzadko definiowały tę sytuację w kategoriach dyskryminacji. Kulik-Bielińska wspominała, że miały pełną świadomość konserwatywnego robotniczego zaplecza „Solidarności” – wiedziały, że stoczniovcy nie przyjęliby rozkazów od kobiety, dlatego świadomie i pragmatycznie usuwały się w cień, stawiając na froncie mężczyzn. Ich perspektywa zaczęła się zmieniać dopiero pod koniec lat 90., m.in. po wspomnianym już artykule Agnieszki Graff, który zapoczątkował Okrągłego Stołu. To nowe spojrzenie badawcze sprawiło, że same opozycjonistki zaczęły mocniej cenić swoje dawne dokonania i głośniejsze domagać się historycznego uznania.

Czego o odwadze cywilnej i patriotyzmie współczesne pokolenia mogą nauczyć się od bohaterek tamtych lat?

Kiedy pracowałyśmy nad wystawą, w całej Polsce trwały masowe protesty kobiet, co stworzyło uderzającą analogię. Zobaczyłyśmy, że współczesne Polki – tak jak ich poprzedniczki z lat 80. – potrafią genialnie się zorganizować i odważnie stanąć w obronie swoich praw. Najważniejszą



lekcją, jaką możemy wynieść z doświadczeń bohaterek podziemia, jest głębokie poczucie własnej sprawczości i zasada, by nigdy się nie poddawać, niezależnie od tego, jak trudne wydają się okoliczności. Musimy jednak wyciągnąć z tamtych wydarzeń jeszcze jeden kluczowy wniosek: nie wolno odpuszczać na samym finiszu. Kiedy po latach walki przychodzi moment podziału zasług i wręczania nagród, kobiety muszą po prostu głośno się o nie upomnieć.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**

Ilustracje: Plansze z wystawy „NIEPOKORNE 1976-1989”, Dom Spotkań z Historią, projekt graficzny: STUDIO UL, Karolina Sosnowska

Od nękania do procesu, czyli KOR „na celowniku” SB

TEKST | Grzegorz Majchrzak

Komitet Obrony Robotników od swojego powstania we wrześniu 1976 roku przez wiele lat pozostawał głównym wrogiem ludowej władzy. Nic zatem dziwnego, że był zaciekle zwalczany przez Służbę Bezpieczeństwa.

Rozpracowaniu przez jej funkcjonariuszy podlegał zarówno sam komitet (głównie w ramach sprawy pod kryptonimem „Gracze”), jak i jego współzałożyciele oraz najważniejsi działacze, np. Jan Józef Lipski (sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Poeta”), Adam Michnik (SOR „Wir”) czy Antoni Macierewicz (SOR „Macek”).

I trudno się temu dziwić, skoro jego założycieli Adam Krzysztoporski (w tym czasie dyrektor Departamentu III MSW) określił mianem „starych znajomych aparatu bezpieczeństwa”. Wynikało to z faktu, że wielu z nich zdążyło już bowiem przejść przez komunistyczne więzienia – najwyższy wyrok (10 lat pozbawienia wolności,

z czego w więzieniu odsiedział osiem, zanim przedterminowo został zwolniony z powodu choroby) miał „na swoim koncie” Józef Rybicki, za powojenną działalność w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”. Ponadto praktycznie wszyscy, również od lat, występowali przeciwko panującemu w Polsce Ludowej systemowi.

W ramach spraw prowadzonych na poszczególnych działaczy KOR zbierano informacje zarówno na temat funkcjonowania samego Komitetu Obrony Robotników, jak i jego członków oraz współpracowników. Oczywiście nie ograniczano się bynajmniej do biernego zbierania informacji. Podejmowano również inne działania w celu dezintegracji środo-

wiska komitetu czy też skłócenia jego działaczy z przedstawicielami innych odłamów polskiej opozycji (np. Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela). Ważną rolę w tych działaniach odgrywali tajni współpracownicy, dzięki którym SB często dysponowała informacjami o planach i zamierzeniach KOR, a także podejmowała za ich pośrednictwem różnorodne działania (tak zwane kombinacje operacyjne).

Oczywiście na działaczy Komitetu Obrony Robotników spadały również represje, przy czym takie przypadki, jak aresztowanie w maju 1977 roku kilkunastu jego członków (Jacka Kuronia), których po dwóch miesiącach zwolniono, należały jednak do rzadkości. Po prostu peerelowskie władze



(z powodu podpisania Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych) unikały otwartych represji wobec działaczy opozycji. Postawiły zatem głównie na tzw. działania specjalne, w tym nękanie. Członków i współpracowników KOR również – niekiedy często – zatrzymywano (na okres do 48 godzin, co nie wymagało sankcji prokuratorskiej). Jeśli już zaś ich stawiano przed sądami, to nie pod zarzutami politycznymi, lecz kryminalnymi (np. w lutym 1980 roku skazano Jana Kozłowskiego na 2 lata pozbawienia wolności za rzekome pobicie sąsiada). W walce z nimi wykorzystywano również kolegia ds. wykroczeń, które karały ich, ale np. nie za rozrzucanie ulotek, lecz za zaśmiecanie ulic.

Listy, telefony, pobicia, porwania...

O czym była mowa – członków i współpracowników Komitetu Obrony Robotników nęcano (w ramach tzw. działań nękających, określanych również mianem działań specjalnych). Obejmowały one szeroki wachlarz szykan – od pozornie niewinnych, takich jak telefony oraz listy (najczęściej zresztą stosowane), poprzez zwalnianie z pracy, aż po pobicia czy porwania, a niewykluczone również, że – w pojedynczych przypadkach – zabójstwa.

Przy czym – co trzeba podkreślić – w przypadku nękania Służba Bezpieczeństwa nie działała sama. Angażowały się w nie różne organy państwa oraz instytucje (od kierownictwa zakładów pracy czy władz uczelni, poprzez media i administrację państwową, aż po socjalistyczny „wymiar sprawiedliwości”, zwłaszcza kolegia ds. wykroczeń). Celem tych działań było zniechęcenie poddanych tego rodzaju działaniom osób do prowadzenia działalności opozycyjnej, uprzykrzenie im życia. Co warto podkreślić, ofiarami nękania stawiali się nie tyl-

ko członkowie czy współpracownicy KOR, ale również ich rodziny (w tym ich dzieci). I tak np. funkcjonariusze SB podjęli działania w celu utrudnienia przyjęcia do przedszkola syna Kuronia.

Do najczęściej stosowanych metod należały dwa rodzaje operacji – „list” i „telefon”. Polegały one na nękaniu danej osoby za pomocą telefonów czy też listów od „osób życzliwych” albo – wręcz przeciwnie – zawierających ostrzeżenia, pogroźki czy insynuacje pod adresem danej osoby lub członków jej rodziny. I tak np. do Włodzimierza Gromca w wieczór sylwestrowy 1976 roku wysłano telegram z informacją o rzekomej poważnej chorobie matki. Listy kierowano również do instytucji (zarówno krajowych, m.in. Sejmu, jak i zagranicznych, np. Ambasady Republiki Federalnej Niemiec w Warszawie) czy mediów (na czele z „Trybuną Ludu”, czyli organem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), najczęściej podszywając się pod „zwykłych Polaków”. Ich adresatami były również osoby wspierane przez Komitet Obrony Robotników. I tak np. w styczniu 1977 roku, kiedy łódzka Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się o problemach finansowych działaczy z KOR i zmniejszeniu pomocy dla rodzin represjonowanych po Czerwcu ’76 robotników, do osób korzystających ze wsparcia wysłano listy z sugestią o dokonywaniu nadużyć finansowych przez korowców. Mniej niż o listach wiadomo o telefonach. Niestety nie zachowały się ich zapisy, ale wiadomo, że często zawierały one pogroźki pod adresem działaczy opozycji czy członków ich rodzin, a także propozycje spotkań „w ważnej sprawie” zazwyczaj w jakimś odludnym miejscu. Niekiedy dzwoniły też „osoby życzliwe” z „dobrymi radami”.

Uderzenie w finanse

Ważnym elementem działań nękają-



Antoni Macierewicz i Jacek Kuroń na zebraniu KSS KOR w mieszkaniu Jacka Kuronia, styczeń 1980 r.
FOT. TOMASZ MICHALAK/FOTONOVA

cych było również pozbawianie członków i współpracowników KOR źródeł utrzymania. I tak np. pod koniec czerwca 1977 roku z pracy w Wydawnictwie Łódzkim zwolniono Helenę Gromiec, a trzy miesiące później jej męża Włodzimierza z Zakładu Filozofii Uniwersytetu Łódzkiego. Z kolei kilka miesięcy wcześniej – w styczniu 1977 roku – funkcjonariuszom SB (wspieranym przez Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi) udało się przekonać dyrektora Teatru Nowego w Łodzi Kazimierza Dejmka, aby ten nie zatrudniał aktorki Haliny Mikołajskiej.

Służba Bezpieczeństwa chętnie sięgała również po rozpuszczanie plotek. I tak np. w lutym 1977 roku rzeszowska SB zamierzała – za pomocą swoich tajnych współpracowników – rozpowszechnić informacje o rzekomym sprzeniewierzeniu w czasie II wojny światowej pieniędzy pochodzących ze zrzutów przez Rybickiego, wówczas żołnierza Armii Krajowej. W tym samym czasie „za pomocą propagandy specjalnej” planowano również przedstawiać go „jako tyrana rodziny”. Niekiedy sięgano zresztą po bardziej ohydne oszczerstwa. W przypadku Macierewicza w drzwi jego sąsiadów funkcjonariusze powtykali ulotki z informacją, że ten jest rzekomo zboczeńcem seksualnym. Z kolei w październiku 1976 roku do szeregu

instytucji kulturalnych wysłali oni rzekomy apel Jerzego Andrzejewskiego (z jego podrobionym podpisem) w sprawie równouprawnienia mniejszości seksualnych w Polsce.

Od gróźb do czynów

W walce z działaczami Komitetu Obrony Robotników sięgano również po inne metody. I tak np. w przypadku wspomnianej wcześniej Mikołajskiej było to oblanie lakierem samochodu, wpuszczenie do środka cuchnącej substancji, pocięcie opon oraz uszkodzenie zapłonu, co wręcz groziło wybuchem, obrzucanie zgniłymi jajkami w trakcie występów w Teatrze Współczesnym, zamieszczenie „w jej imieniu” ogłoszenia o treści: „Z powodu wyjazdu za granicę na stałe odstąpię szybko mieszkanie” czy wreszcie obelżywe listy i telefony, w tym groźby pobicia.

Niekiedy te groźby – zresztą powszechne pod adresem członków KOR czy ich rodzin – realizowano. I tak np. w maju 1978 roku został pobity po zatrzymaniu przez funkcjonariuszy MO na posterunku dworcowym we Wrocławiu Marek Adamkiewicz, który notabene za obrazę milicjantów został następnie skazany na 1,5 roku ograniczenia wolności (30 godzin prac społecznych miesięcznie)... Z kolei zatrzymania – pod

byłe pozorem, a nawet bez niego – były wręcz na porządku dziennym. Niewyjaśniony do dziś pozostaje przypadek krakowskiego studenta, związanego z KOR Stanisława Pyjasa, który w maju 1977 roku został znaleziony martwy na klatce schodowej domu przy ulicy Szewskiej w Krakowie, gdzie mieszkał. Przyjęto wersję o tragicznym wypadku, ale do dziś nie wiadomo, co robił i gdzie przebywał w ostatnich godzinach życia. Wiadomo natomiast, że funkcjonariusze SB nieco ponad dwa tygodnie przed jego

Służby Bezpieczeństwa. Nie oznaczało to bynajmniej, że jej funkcjonariusze zapomnieli o osobach związanych z Komitetem Obrony Robotników. Byli oni uważani – podobnie jak związkowcy uznani za radykałów – za główne zagrożenie w ramach Solidarności.

Nic zatem dziwnego, że podejmowano przeciwko nim działania mające na celu wyeliminowanie czy też maksymalne ograniczenie ich wpływów w związku (np. usuwanie ich z władz „Solidarności” – zwłaszcza na szczeblu regionalnym oraz ogólnopolskim).



Piotr Naimski na zebraniu KSS KOR w mieszkaniu Jacka Kuronia, styczeń 1980 r. FOT. TOMASZ MICHAŁAK/FOTONOVA

śmiercią rozpowszechnili wśród krakowskich współpracowników Komitetu Obrony Robotników listy z informacją o jego rzekomej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, a także z wezwaniem do fizycznej rozprawy z domniemanym agentem bezpieki...

W solidarnościowym „karnawale”

Działania wobec Komitetu Obrony Robotników zeszyły na „drugi plan” latem 1980 roku, po powstaniu NSZZ „Solidarność”. Od września tego roku do grudnia 1981 roku to właśnie wielomilionowy związek stał się głównym przeciwnikiem peerelowskich władz, a tym samym przedmiotem działań

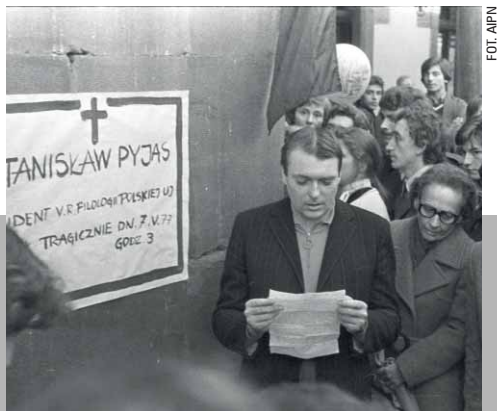
polskim). W tym celu wykorzystywano spory wewnętrzny, próbując wykorzystać – np. jak w przypadku Regionu Mazowsze – do tego tzw. prawdziwków (prawdziwych Polaków) pozostających w opozycji do tzw. korników (osób związanych z KOR). Tak było np. w przypadku członka Zarządu Regionu Mazowsze Pawła Niezgodzkiego, który we wrześniu 1981 roku podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” zgłosił kontrpropozycję wobec uchwały z podziękowaniami dla Komitetu Obrony Robotników, po tym, jak członkowie tegoż w czasie I KZD ogłosili zakończenie jego działalności. Ten jednak mimo swojej niechęci do korowców nie dał się zwerbować do współpracy.



Proces działaczy KSS KOR przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Pierwszy z prawej Adam Michnik, trzeci - Jacek Kuroń. 13 lipca 1984 r. FOT. PAP



Halinie Mikołajskiej oblanie lakierem samochodu, wpuszczenie do środka cuchnącej substancji, pocięcie opony i uszkodzenie zapłonu FOT. PAP



Oskarżenie o próbę obalenia przemocą ustroju

Rozwiązanie KOR nie zakończyło działań wobec członków tej organizacji, których oskarżano o próby manipulowania związkami czy też ekstremizację (radyzację) jego działań. Znaleźli się oni oczywiście również w gronie osób internowanych po wprowadzeniu w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego.

Mało tego, część z nich wraz z likwidacją ośrodków odosobnienia (tzw. internatów) nie odzyskała wolności, lecz została aresztowana i trafiła do więzienia. Wynikało to z przygotowań peerelowskich władz do procesu części (kilkunastu) liderów NSZZ „Solidarność” oraz członków Komitetu Obrony Robotników, mimo wprowadzonej – wraz ze stanem wojennym – abolicji na czyny sprzed 13 grudnia. Jak to było możliwe? Otóż sięgnięto po dwa przepisy dotyczące czynów nieobjętych abolicją, w tym przepis dotyczący próby obalenia przemocą ustroju.

Z grona działaczy KOR takie zarzuty sformułowano wobec Mirosława Chojeckiego, Kuronia, Lipskiego, Jana Lityńskiego, Michnika, Zbigniewa Romaszewskiego oraz Henryka Wujca. Ostatecznie przed sądem nie stanęli przebywający za granicą Chojecki, Lipski, którego sprawę – ze względu na zły stan zdrowia – wyłączono do odrębnego śledztwa, oraz Lityński, który wykorzystał otrzymaną w czerwcu 1983 roku przepustkę z więzienia

i zaczął się ukrywać oraz działać w podziemiu.

Pozostałym w kuriozalnym akcie oskarżenia zarzucano, że „w Warszawie i innych miejscach Polski oraz poza jej granicami, działając w celu obalenia przemocą ustroju i osłabienia mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej poprzez zerwanie jedności sojuszniczej ze Związkiem Radzieckim, podjęli w porozumieniu z osobami objętymi odrębnymi postępowaniami, czynności przygotowawcze zmierzające do tego celu”. Mieli odpowiadać przed sądem wojskowym (Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego). Ich proces rozpoczął się w dniu 13 lipca 1984 roku, ale nigdy się nie zakończył...

Pierwszego dnia został odczytany jedynie akt oskarżenia, po czym rozprawę odroczono do 18 lipca. Tego dnia z kolei rozprawa ograniczyła się do odczytania przez przewodniczącego składu sędziowskiego oświadczenia o zarządzeniu przerwy w niej. Ze względu na ogłoszoną amnestię nigdy go jednak nie wznowiono, a Kuroń, Michnik i Wujec odzyskali wolność po ponad dwóch i pół roku, Romaszewski aresztowany pod koniec sierpnia 1982 roku w więzieniu spędził kilka miesięcy mniej.

Oferta wyjazdu na Zachód

Pisząc o procesie działaczy KOR, nie sposób nie wspomnieć o tym, że władze PRL podjęły próbę pozbycia się ich z kraju. Na ten pomysł trzeba zresztą spojrzeć z nieco szerszej perspektywy, gdyż w stanie wojennym ekipa Wojciecha Jaruzelskiego – kopiując, przynajmniej po części, pomysł władz Kuby – podjęła działania w celu pozbycia się działaczy opozycji, zwłaszcza tej solidarnościowej.

Wracając jednak do członków Komitetu Obrony Robotników, którym groziły postawienie przed sądem i wysokie wyroki, to jako pierwsi – w sierpniu 1983 roku – propozycję

emigracji otrzymali Michnik i Kuroń. Kilka miesięcy później – w październiku tego roku – tę samą propozycję otrzymali pozostali członkowie tzw. jedenastki, czy inni działacze KOR, którzy mieli zostać oskarżeni o próbę obalenia przemocą ustroju, oraz członkowie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” (Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski i Jan Rulewski), którym zamierzano postawić analogiczne zarzuty.

W myśl propozycji, którą szef MSW Czesław Kiszcak przedstawił sekretarzowi Konferencji Episkopatu Polski abp. Bronisławowi Dąbrowskiemu, mieliby oni wyjechać z kraju na pięć lat. Uwięzieni odmówili jednak przyjęcia tej oferty. Podobnie jak zresztą innej – tym razem prymasa Polski Józefa Glempa – dotyczącej zwolnienia ich w zamian za zobowiązanie się do zaprzestania działalności publicznej do 1986 roku. Choć – co warto dodać – ten kompromisowy pomysł zaakceptowały władze PRL, a także – z tym że jedynie nieoficjalnie – Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”...

Groźni do samego końca

Oczywiście niedoszły proces działaczy Komitetu Obrony Robotników nie stanowił końca działań wobec nich. Mimo że KOR zakończył formalnie swoją działalność, byli oni bowiem mniej lub bardziej aktywni w opozycji w kolejnych latach. Nic zatem dziwnego, że byli w związku z tym rozpracowywani do końca lat osiemdziesiątych, a niektórzy z nich (np. Macierewicz) jeszcze w roku 1990, czyli już w czasie, kiedy na czele rządu stał pierwszy niekomunistyczny premier po zakończeniu II wojny światowej Tadeusz Mazowiecki. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



„Boży człowiek” z Komitetu

TEKST | Waldemar Kowalski

Był trybunem słabych, wykluczonych, uciśnionych. Ksiądz Jan Zieja dosłownie wcielał w życie nakazy Ewangelii. To właśnie miłość bliźniego kazała mu 50 lat temu stanąć po stronie prześladowanych przez reżim komunistyczny i podpisać się pod apelem Komitetu Obrony Robotników.

Niezwykły świadek burzliwego XX stulecia, wyjątkowy kaznodzieja. Duchowny radykalnie ewangeliczny, piewca Kościoła ubogiego. Całym swym długim życiem świadczył o Jezusie Chrystusie – także, a może przede wszystkim, w niehumanitarnych czasach okupacji.

Gdy Ojczyzna znalazła się w potrzebie, skromny kapłan bez wahania poszedł na wojnę. W 1939 roku spowiadał polskich i... niemieckich żołnierzy. Pięć lat później posługiwał wśród Powstańców Warszawskich. Włączył się w dzieło ratowania ludności żydowskiej. Zawsze gotowy służyć drugiemu człowiekowi.

Zofia Kossak-Szczucka, współzałożycielka Rady Pomocy Żydom „Żegota”, tak opisywała szlachetną postawę ks. Zieja: *Ze szczególną siłą potępiał krzywdę społeczną. Gdy mówił o niej, z ust jego padały gromy. Omawiając siódme przykazanie, stwierdzał, że Bóg, który wszystko przewidział, zapatrzył ziemię w wystarczającą ilość środków żywności dla ludzi każdej epoki. „Jeżeli komuś brak chleba – wołał z uniesieniem – to dlatego, że ktoś drugi ten chleb skradł. Skradł, gromadząc u siebie nadmiar! Biada tym złodziejom, co nie z głodu, a z chciwości okradają bliźnich! Nie znajdą miłosierdzia u Pana!”*

Nie opuścił prymasa

W warunkach nowego, komunistycznego zniewolenia ks. Zieja poświęcił się pracy ewangelizacyjnej na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Zamieszkał w Słupsku, gdzie dał się poznać nie tylko jako wzorowy duszpasterz, ale i prężny działacz charytatywny oraz społeczny.

Wrócił do Warszawy w 1949 roku na prośbę nowego prymasa Polski – arcybiskupa Stefana Wyszyńskiego, który chciał mieć blisko siebie nie tylko zaufanego współpracownika, ale i sprawnego organizatora. Ksiądz Zieja na krótko objął probostwo parafii św. Wawrzyńca na stołecznej Woli,

aby niebawem (aż na dziewięć lat) zostać rektorem Kościoła Sióstr Wizytek na Krakowskim Przedmieściu.

W międzyczasie komunistyczne służby próbowały zjednać przychylność charyzmatycznego kapłana, najwyraźniej nie zdając sobie jednak sprawy z jego niezłomności. – *Kiedy mnie sprowadzono do Warszawy, zaraz po przyjeździe dostałem wezwanie od ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, Władysława Wolskiego. (...) Przez cztery godziny ze mną rozmawiał, temat główny był taki: „Chcemy nawiązać kontakty z hierarchią kościelną. I nie udaje się. Dlaczego?”.* Powiedziałem szczerze: „Dlatego, że kłamięcie ciągle. Mówicie rzeczy nieprawdziwe albo obiecujecie i tego nie spełniacie”. (...) Przez cztery godziny usiłował mnie pozyskać, ale nic z tego nie wyszło – relacjonował ks. Zieja.

Duchowny pozostał niezłomny w obliczu kryzysu, wywołanego aresztowaniem prymasa Wyszyńskiego we wrześniu 1953 roku. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa wywieźli hierarchę z Pałacu Prymasowskiego do klasztoru w Rywałdzie, gdzie został internowany. Rektor Kościoła Wizytek zdecydował się wówczas na akt odwagi – podczas niedzielnej kazania, z kościelnej ambony, stanowczo piętnował bierną postawę polskich biskupów w obliczu tych komunistycznych represji.

– *Opuścili go [prymasa Wyszyńskiego – red.] wszyscy, pozostał mu tylko Niemiec i pies* – podkreślił duchowny, przywołując szlachetną postawę ks. Adalberta Wojciecha Zinka, wikariusza generalnego diecezji warmińskiej, który głośno protestował przeciwko uwięzieniu hierarchy. Z kolei czworonóg, o którym wspominał autor homilii, to należący do prymasa pies Baca, który w momencie aresztowania miał rzucić się na jednego z funkcjonariuszy UB.

– *Ewangelia akurat wypadła o miłości nieprzyjaciół, więc do tego tema-*

tu nawiązałem. Podałem przykład, jak się należy zachować w takiej sytuacji: ksiądz Wyszyński opatrzył ranę ubowcowi pogryzionemu przez psa – wyjaśniał później niepokorny kapłan.

Uciszyć księdza

Z każdym dniem ks. Zieja stawał się dla rządzących coraz bardziej uciążliwy. Aby zmusić go do wyjazdu z Warszawy, wysłano mu nakaz opuszczenia miasta... listownie. Przestrzegany przed próbami stawiania oporu, charyzmatyczny kapłan zgodził się opuścić stolicę. Namawiał go do tego bp Wacław Majewski (po internowaniu prymasa zarządzał archidiecezją warszawską), mówiąc: „Synu! Nie włącz im w paszczę”. Niezależnie od tego, inwigilowany i nękany ksiądz

Ze szczególną siłą potępiał krzywdę społeczną. Gdy mówił o niej, z ust jego padały gromy

nie zamierzał niczego udowadniać. On po prostu konsekwentnie – niezależnie od miejsca pobytu – realizował swą duszpasterską misję.

Ta bezkompromisowa postawa budziła u ludzi władzy zdziwienie, złość czy wręcz wściekłość. – *Moja odmowa nie ma charakteru demonstracji politycznej, lecz jest sprawą sumienia* – przekonywał ks. Zieja pod koniec 1953 roku, tłumacząc brak swojej zgody na ślubowanie na wierność PRL, które – ku jego zdziwieniu – złożył cały Episkopat.

Wiosną 1954 roku były kapelan Szarych Szeregów opuścił Warszawę. Przebywał w Zakopanem. Także poza stolicą, ku niezadowoleniu władz, nie „przemysłał” swojej dotychczasowej postawy. W dalszym ciągu otwarcie

krytykował ugodową postawę biskupów względem reżimu. Wciąż ponawiał apele o zwolnienie prymasa z internowania.

– *Stanąwszy w prawdzie, miejcie odwagę (...) powziąć natychmiastową doraźną decyzję w dwóch sprawach: Odwołać i unieważnić niezgodny z Konstytucją PRL dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych w Polsce (...), na podstawie którego księża są traktowani jak urzędnicy państwowi, składający przyrzeczenie wierności rządowi (którego członkowie w obecnych warunkach są usposobieni z reguły antyreligijnie!). (...) Księdzu arcybiskupowi warszawskiemu i gnieźnieńskiemu kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu – niezwłocznie dać wolność pełnienia jego pasterskich obowiązków w Warszawie i w Gnieźnie, i w całej Polsce* – pisał bliski współpracownik prymasa w liście do KC PZPR z marca 1956 roku.

Do Warszawy wrócił po dwóch latach, a gdy ponownie chciano go z niego wygnać, kategorycznie odparł: *Do żadnej winy się nie poczuwam, bo jej nie było i nie ma.*

W obronie krzywdzonych

Każdy rok duszpasterskiej posługi ks. Zieja w Warszawie tylko utwierdzał rządzących w przekonaniu, że działa on na szkodę socjalistycznego państwa. O ile wcześniej komuniści przymykali oczy na „niefortunne” wypowiedzi kapłana, o tyle z biegiem czasu jego działalność stawała się dla nich wręcz... groźna.

„Cierpliwość” władz ks. Zieja poważnie przetestował 17 września 1974 roku – w 35. rocznicę sowieckiej agresji na Polskę – wygłaszając w Archikatedrze Warszawskiej płomienne kazanie. – *Data 17 września to coś znaczy. Jest to 35. rocznica dnia, w którym na walczącą Polskę uderzono ze wschodu. (...) Mamy obowiązek przede wszystkim przebaczyć*

wszystkim tym, do których żywiłmy gniew, przebaczyć wszystkie krzywdy osobiście nam wyrządzone. (...) Pamiętać musimy, że na wschodzie, za Bugiem, nieco na północ żyje i pracuje lud litewski, który pragnie żyć w wolności i niepodległości i ma do tego prawo. A wprost na wschód żyje i pracuje naród białoruski, który ma



Ksiądz Jan Zieja i Edward Lipiński przed budynkiem Sądu Wojskowego, pierwszego dnia procesu, który toczył się przeciwko działaczom KSS KOR: Adamowi Michnikowi, Jackowi Kuroniowi, Zbigniewowi Romaszewskiemu i Henrykowi Wujcowi
FOT. WITOLD JAROSŁAW SZULECKI / EAST NEWS

prawo do życia w wolności i niepodległości. A bardziej na południe żyje i pracuje naród, który dawniej nazywaliśmy narodem ruskim – a dziś nazywa się on narodem ukraińskim i ma on prawo do życia w wolności i niepodległości – podkreślał gorący orędownik pojednania między narodami, przywołując tragiczne losy tych, którzy domagali się wolności i niepodległości: Polaków, Litwinów, Białorusinów oraz Ukraińców.

Nie minęły dwa lata, gdy – w czerwcu 1976 roku – krajem wstrząsnęła fala strajków robotniczych w obronie

godnego życia, z których największe miały miejsce w Radomiu, Ursusie i Płocku. Odpowiedzią władz była krwawa pacyfikacja protestów, wobec czego ks. Zieja nie mógł i nie chciał stać obojętnie. Opowiedział się po stronie krzywdzonych, co dla reżimu było równoznaczne z otwartym mieszanieniem się w politykę. 23 września duchowny podpisał się pod „Apelem do społeczeństwa i władz PRL”, domagającym się zaprzestania represji wobec strajkujących, przywrócenia im do pracy i ukarania sprawców zbrodni sprzed trzech miesięcy. Tak powstał Komitet Obrony Robotników

Każdy rok duszpasterskiej posługi ks. Ziei w Warszawie tylko utwierdzał rządzących w przekonaniu, że działa on na szkodę socjalistycznego państwa

– pierwsza w PRL jawnie działająca struktura opozycyjna.

Ksiądz Zieja został przewodniczącym Rady Funduszu Samoobrony Społecznej KOR, odpowiadał za zbiórki i rozdział pieniędzy dla robotników. Jego jedyną motywacją była chęć pomocy prześladowanym, zgodnie z chrześcijańskim nakazem miłowania bliźniego. Dlatego w momencie, gdy przyszli do niego funkcjonariusze SB, kapłan zaczął ich... ewangelizować. Innym razem po prostu uklęknął i się modlił. „Zło dobrem zwyciężaj” – to szczególnie bliskie ks. Ziei wezwanie stanowiło podstawę każdego jego działania.

W jednym z wywiadów opowiadał: *Spotykając ludzi zajmujących się polityką, czułem się zawsze duszpaste-*

rzem. Towarzyszyłem im i czekałem. Z Ewangelią zwracałem się do moich kolegów z KOR-u, ale do prokuratorów też. Różnie to przyjmowano. Czasem wyśmiewano, nazywano mnie utopistą. Może. Moje utopijne marzenie, by zapanował pokój, zakłada, że może ludzie powiedzą kiedyś: jesteśmy stworzeniami Bożymi, istnieje Boskie Przykazanie – nie będziesz zabijał – więc nikt nas do tego nie zmusi, żaden cesarz, żaden król, żaden rozkaz.

W lutym 1983 roku w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej w sprawie aresztowanych przywódców KOR-u ks. Zieja wypominał tym, którzy go przesłuchiwali: *Chcecie, żeby przyjaciele oskarżali swoich przyjaciół. To jest niemoralne. Nie chcę w tym uczestniczyć. A od siebie powiem, co mnie pociągnęło do KOR-u. Ci ludzie jawnie stanęli w obronie krzywdzonych. Taką działalność uważałem za wykonywanie zaleceń Jezusa Chrystusa. I przyłączyłem się.*

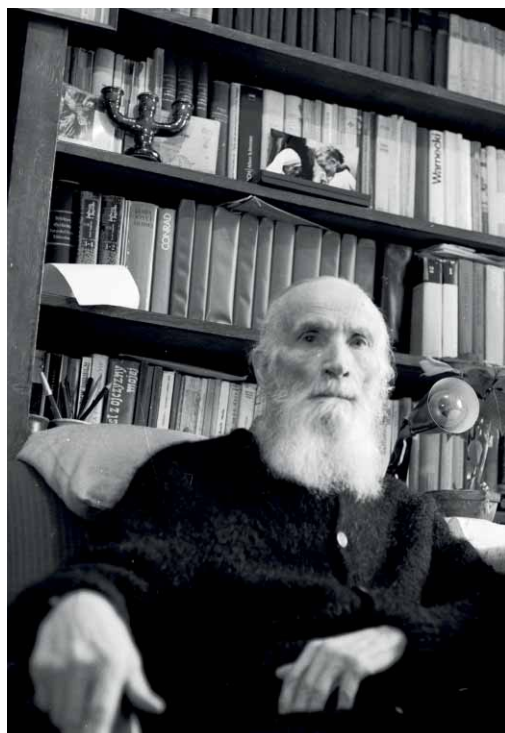
„Nadał mi kierunek”

Wysoki, szczupły mędrzec z długą, siwą brodą. Wyglądem ks. Zieja przypominał... biblijnego proroka. Jego współpracownicy z KOR zgodnie powtarzali, że był wzorem kapłana, pod którego wpływem dokonywała się w nich wewnętrzna przemiana. Zatraskany o los uciskanych duchowny był dla wielu „empirycznym dowodem na istnienie Boga”.

Henryk Wujec, jedna z kluczowych postaci Komitetu, tak charakteryzował księdza: *Symbol świętości. Gdy brał udział w zebraniach, była inna atmosfera. Czuliśmy, że jest wśród nas ktoś, kto ma bezpośrednią łączność z rzeczywistością, która przekracza nasze doświadczenie. (...) Starał się nas jednoczyć. Michnik, Kuroń, Macierewicz, wszyscy mu byli bliscy. KOR był takim małym parlamentem i do ostrych dyskusji dochodziło. Ale to, że do końca istnienia (wrzesień 1981 roku) nigdy się brzydko nie po-*

dzielił, jest zasługą łagodzenia księdza Ziei.

Innym razem działacz KOR otwarcie przyznawał: *Nadał mi kierunek. Było w nim odniesienie do ludu, ale nie w sensie folkloru, tylko siły, czerpanej z tradycji prostych ludzi. (...) Pod wpływem spotkania z Zieją w KOR-ze zacząłem na nowo zastanawiać się nad swoją postawą; pomyślałem, że innego fundamentu niż Kościół nie*



Ksiądz Jan Zieja w swoim mieszkaniu, 1981 r.
FOT. PAP

znajdę, ale że wierząc, nie muszę się we wszystkim zgadzać z doktryną. I powróciłem. Dziś patrzę na Kościół jak na strukturę, która z jednej strony jest konieczna, ale jest jak skorupa. Lecz przecież głos Ewangelii przez tę skorupę dociera. I nurt „ziejowy” pod nią płynie, jest żywy i nie wyschnie.

Sporo ks. Ziei zawdzięczał też Jacek Kuroń, dla którego spotkanie z kapłanem miało wymiar metafizyczny. – *Dzięki niemu [ks. Ziei – red.] powiedziałem o sobie: teraz jestem chrześcijaninem – przyznawał współzałożyciel KOR.*

Relacje między Kurońem – niegdyś zafascynowanym komunizmem – a ks. Zieją tak charakteryzował wspomniany wcześniej Wujec: *Jacek potrzebował wiary, ideału i odnajdywał go w chrześcijaństwie. Myślę, że spotkanie z Zieją dało mu siłę wewnętrzną, przekonanie, że można iść w innym kierunku ideowym niż ten, który wybrał kiedyś i został poturbowany – komunizm. Zieja, który żył Ewangelią, był dla niego wzorcem człowieka głęboko ideowego, a zarazem otwartego na innych ludzi.*

Jeszcze inni podziwiali w ks. Ziei „łagodność serca i twardość zasad”. – *Na zebraniach KOR-u odzywał się rzadko. To nie był człowiek polityczny, a jednocześnie ten jego duch ewangeliczny stale w politykę ingerował. (...) On dawał nam – zwłaszcza młodym – pewną formację. Dzięki temu wiedzieliśmy, że choć polityka jest sztuką gry, to pewnej granicy przekraczać nie wolno. (...) Próbowano go zmanipulować, mówiąc, że Jacek Kuroń to komunista, a ja komunista i Żyd, że mamy inne zdanie niż Kościół w sprawie aborcji. Na jego przynależność do KOR-u hierarchia nie patrzyła z sympatią. Jednak nigdy się od nas nie zdystansował – tłumaczył Adam Michnik.*

Wtórowała mu Maria Wosiek, twierdząc, że obecność księdza w Komitecie była dla niej „gwarancją moralną”. I dodawała: *On nie dopuścił żadnej fałszywej nuty. Nie narzucał swego zdania, ale jego mowa była: tak, tak, nie, nie.*

Miłosierdzie przede wszystkim

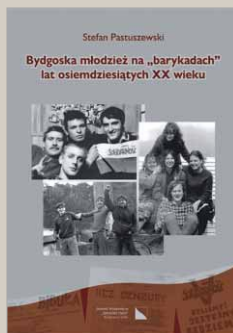
– *Udział w działalności Komitetu Obrony Robotników uważam za mój elementarny obowiązek chrześcijański, wynikający z nakazu naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa: „Byłem w więzieniu, a nawiedziliście mnie” – oświadczył w październiku 1976 roku funkcjonariuszom SB na tzw. rozmowie ostrzegawczej ks. Zieja.*

Za wspieranie robotników po Czerwcu '76 Kolegium ds. Wykroczeń ukarało niepokornego duchownego karą grzywny. „*Niesienie pomocy skrzywdzonym, pozbawionym pracy i ich rodzinom ani w Polsce, ani nigdzie w świecie nie było i nie jest uważane za wykroczenie, czyn społecznie niebezpieczny. A przy tym dla mnie, księdza katolickiego, udział w takiej działalności jest wypełnianiem elementarnego obowiązku miłosierdzia, zaleconego w Ewangelii (np. Mt 25, 31–46), a więc karanie mnie za to grzywną zakrawa na naruszanie artykułu 196 Kodeksu Karnego*” – pisał w odwołaniu ks. Zieja.

W kolejnych latach wspierał rodzącą się Solidarność, odprawiał msze św. za strajkujących, z całych sił pomagał rodakom pragnącym żyć w niepodległej Ojczyźnie. Był podsłuchiwany i zastraszany, ale nie ułękł się i nie zrezygnował ze swego wielkiego dzieła. Tacy jak on – obok ks. Jerzego Popiełuszki – byli duchowymi przewodnikami wielkiego ruchu społecznego, który narodził się w sierpniu 1980 roku.

Dla władz PRL ks. Jan Zieja był przede wszystkim „uciążliwym obywatel”. Inwigilowany, podsłuchiwany, zastraszany. Nie dał się złamać, co więcej – nigdy nie zatracił się w nienawiści. Modlił się za swych prześladowców. W każdym dostrzegał bliźniego, ale nie godził się na zniewolenie. Jego autentyzm był dla wielu, nie tylko chrześcijan, fascynujący.

Władysław Bartoszewski tak podsumował tę niezwykłą postać: *Nie był politykiem. Nie był ideologiem. Był ekumenicznym duchownym o wielkiej mądrości, do którego lgnęli ludzie rozmaitych orientacji (...). Mówiono, że to Boży człowiek. (...) Przez całe życie szedł do ludzi prześladowanych, cierpiących. Niósł dobro. I je tworzył.* ■



Stefan Pastuszewski

„Bydgoska młodzież na »barykadach« lat osiemdziesiątych XX wieku”

Książka Stefana Pastuszewskiego to opowieść o młodych mieszkańcach Bydgoszczy, którzy w czasach PRL zdecydowali się sprzeciwić komunistycznej rzeczywistości. Autor przedstawia losy uczniów, studentów i młodych robotników zaangażowanych w demonstracje, akcje protestacyjne, kolportaż niezależnych wydawnictw i inne formy działalności opozycyjnej.

Dużym atutem publikacji jest pokazanie historii z perspektywy osób, które często nie znalazły miejsca wśród najbardziej znanych bohaterów opozycji. Pastuszewski przypomina, że o wolność walczyli również bardzo młodzi ludzie, dla których działalność opozycyjna oznaczała ryzyko zatrzymania, przesłuchań czy innych represji. Ich historie pokazują, jak wiele odwagi wymagało przeciwstawienie się systemowi.

Symboliczne „barykady” z tytułu są obrazem buntu, determinacji i walki o prawo do życia w wolnym kraju. Nie zawsze była to walka na ulicach – czasem wystarczył kolportaż ulotki, udział w proteście czy zwykła odmowa podporządkowania się narzuconym zasadom.

Książka przypomina ludzi, którzy tworzyli historię, choć nie zawsze stali w jej centrum. Dzięki niej wydarzenia lat osiemdziesiątych zyskują bardziej osobisty wymiar. To publikacja, która pozwala lepiej zrozumieć atmosferę tamtych czasów i pokazuje, że droga do wolności była także dziełem młodych ludzi gotowych ponieść konsekwencje swoich wyborów. **KZ**

Instytut Wydawniczy ŚWIADECTWO, Bydgoszcz 2026



Włodzimierz Fenrych

„Telefon do Kuronia”

„Telefon do Kuronia” Włodzimierza Fenrycha to książka na pograniczu literatury autobiograficznej, wspomnieniowej i dokumentalnej. Jej podstawę stanowią autentyczne wydarzenia z końca lat 70., związane przede wszystkim z działalnością środowisk opozycyjnych w Poznaniu skupionych wokół KOR-u. Autor, jako uczestnik części opisywanych wydarzeń, przedstawia rzeczywistość PRL-u z perspektywy bezpośredniego świadka, nadając narracji osobisty i jednocześnie historyczny wymiar. Nie koncentruje się wyłącznie na najważniejszych postaciach i wydarzeniach politycznych, lecz pokazuje funkcjonowanie opozycji z perspektywy codziennych doświadczeń jej uczestników. Przedstawia obraz środowiska młodych ludzi, którzy podejmowali działalność opozycyjną, narażając się na konsekwencje.

Szczególne znaczenie ma poznański kontekst wydarzeń. Dzięki niemu książka stanowi interesujące świadectwo lokalnej historii opozycji demokratycznej oraz działalności Studenckiego Komitetu Solidarności.

Wydarzenia historyczne zostają przedstawione przez autora w sposób literacki. Ogromną wartością książki jest właśnie połączenie perspektywy osobistej z szerszym kontekstem historycznym. Dzięki temu autor pokazuje historię „od środka” – przez doświadczenia konkretnych ludzi, ich decyzje i relacje. **KZ**

Wydawnictwo Miejskie Poznań, Poznań 2026



87. RODZINIA AGRESJI SOWIECKIEJ NA POLSKĘ

– W Dniu Sybiraka pochylamy głowy przed wszystkimi zesłańcami. Przed tymi, którzy umierali z głodu, zimna, chorób i wycieńczenia. Przed matkami ratującymi swoje dzieci i przed dziećmi nagle pozbawionymi domu oraz bezpieczeństwa – mówił szef UdSKIOR Lech Parell przed warszawskim Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie podczas obchodów Światowego Dnia Sybiraka, przypadającego 17 września, w rocznicę napaści Związku Sowieckiego na Polskę.

Lech Parell podkreślił, że mimo nieludzkich warunków Sybiracy zachowali godność, wiarę, język i pamięć o Ojczyźnie. Przypomniał także o ofiarach Zbrodni Katyńskiej. Wskazał, że na podstawie decyzji najwyższych władz sowieckich funkcjonariusze NKWD zamordowali około 22 tys. polskich obywateli. Przez dziesięciolecia prawda o tej zbrodni była ukrywana przez stalinowskie kłamstwo.

Szef UdSKIOR zwrócił także uwagę na współczesne działania prowadzące do usuwania lub niszczenia polskich miejsc pamięci na Wschodzie. – *Stanowczo potępiamy takie działania. Żaden spór polityczny i żadna propaganda nie usprawiedliwiają naruszania miejsc wiecznego spoczynku. Cmentarze są miejscami żałoby, modlitwy i szacunku. Wobec prób zacierania historii tym większa odpowiedzialność spoczywa na nas. Pamięć nie jest zemstą. Jest obowiązkiem, warunkiem sprawiedliwości i przestrożą dla przyszłości* – podkreślił Lech Parell.

RZECZPOSPOLITA PAMIĘTA O SWOICH OBYWATELACH

W Ponarach upamiętniono ofiary masowych mordów dokonanych przez oddziały SS, policji niemieckiej oraz kolaborującej z Niemcami policji litewskiej.

W uroczystości 24 września 2026 roku wziął udział szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell, wraz z delegacją Urzędu. Obecni byli również minister Jakub Stefaniak, zastępca szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, minister sprawiedliwości Litwy Rita Tamašunienė, konsul generalny RP w Republice Litewskiej Dariusz Wiśniewski, prezes Stowarzyszenia Rodzina Ponarska Maria Wieloch oraz przedstawiciele polskiej społeczności na Litwie.

– *Ponary są miejscem pamięci o społecznościach, które zostały zaatakowane przez systemy oparte na pogardzie dla człowieka. Są świadectwem zbrodni zaplanowanej, zorganizowanej i wykonywanej metodycznie. Są także przestrożą, że ideologia odbierająca ludziom godność, dzieląca ich według narodowości, religii czy przekonań, może stać się początkiem przemocy, a w końcu prowadzić do mordu* – podkreślił podczas uroczystości w Ponarach szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell.

Podczas uroczystości wręczono również medale Pro Bono Poloniae i Pro Patria. Delegacja złożyła także kwiaty przed pomnikiem Żydów zamordowanych w Ponarach oraz uczestniczyła w Konferencji Ponarskiej.



FOT. UDSKIOR (3)